

aleje 3

NUMER 69 wrzesień - październik 2008
ISSN 1427-8812 CENA 2 zł

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy



Świat Ciepły

Wydawnictwo



aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

**Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy**

Wydawca

Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
www.biblioteka.czest.pl

Redakcja

Aleje NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
aleje3@op.pl

Teksty niezamówione nie będą zwracane.
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania
i skracania przysłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają poglądy Redakcji

Red. Naczelny

Marian P. Rawinis
Tel. 0505-666-486
mprawinis@poczta.onet.pl

Skład i lamania

Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. (0-22) 431-81-40

**Na okładkach obrazy
Władysława Ratusińskiego:**
Sacré Coeur, La Gazette, Londyn w deszczu,
Resurrexit (Fot. Robert Sękiewicz)

Istniały już w starożytności, w średniowieczu, w czasach odrodzenia, baroku i romantyzmu, istnieją i teraz. Zawsze były skarbnicami wiedzy, nośnikami postępu, lecznicami duszy. We wszystkich epokach, kulturach i na wszystkich kontynentach. Choć bywały palone i celowo niszczone, zawsze się odradzały, większe, zasobniejsze, piękniejsze. Biblioteki. Kiedyś gromadziły tylko książki-tabliczki, potem papirusy i papier, wreszcie także pliki elektroniczne. Skupiwały wiedzę, naukę, sztukę; powstawały przy nich pracownie, gabinety kartograficzne, numizmatyczne, medyczne i archeologiczne. Fundowali je faraonowie, cesarze, królowie, książęta, papieże, biskupi, prezydenci. Początkowo otwarte tylko dla wtajemniczonych, już w starożytności bywały dostępne dla wszystkich chętnych. Pierwszą bibliotekę o charakterze publicznym, pierwszą w Polsce i w Europie, założyli w połowie XVIII wieku bracia Żaluscy.

Dziś dysponują niezliczoną ilością pozycji - książek, gazet, filmów, dokumentów audiowizualnych na wszelkich możliwych nośnikach. Każdego roku, za miliony i miliony dolarów, powstają kolejne, nowocześniejsze, bogatsze, bardziej funkcjonalne, wykorzystujące najnowsze zdobycze techniki. Podobnie jak kiedyś, i dziś są źródłami nauki, sztuki, kultury. Współczesna technika pomaga w ich rozwoju, one stymulują rozwój wszystkich dziedzin wiedzy, ta zaś rozwija świat. Postępu nie da się zatrzymać - zauważył ktoś, a reguła ta sprawdzała się i sprawdza zawsze i wszędzie, jak świat długi i szeroki. Gdy gdzieś na prowincji świata ktoś przez chwilę myśli inaczej, to nawet tam przychodzi taka chwila, że musi zacząć myśleć inaczej, po nowemu, współcześnie. Nie można bowiem żyć bez nauki, jak nie da się żyć bez kultury. Dla rozwoju, dla postępu niezbędna jest wymiana myśli, idei, książek. Ci, którzy tego nie widzą, zostają w tyle, aż w ich matecznikach zaświeci z czasem przekonanie, że się mylili. Wtedy bywają mądrzy po szkodzie.

Rosja w początkach panowania cara Piotra I była państwem bardzo zacofanym w stosunku do zachodniej Europy - gospodarczo, społecznie, kulturalnie, naukowo. Wtedy, pod koniec XVII stulecia, nikt w kraju tego nie dostrzegwał, zadawalano się przekonaniem, że starczy być „trzecim Rzymem”. Kiedy car nakazał otworzyć się na Zachód, przeważała opinia o nadciągającej katastrofie. Car nakazał, by 50 młodzieńców z dobrych domów bojarskich jechało w świat po naukę. Pojechali, gdyż nie śmieli odmówić. W domach żegnano ich modlitwami i zaklęciami, jakby jechali na zatracenie i nigdy nie mieli wrócić. Pojechali, by zdobywać nową wiedzę - astronomię, budowę okrętów, mostów, portów, domów, malarstwo, rzeźbę, modę. W Amsterdamie zobaczyli kompas i już uważali, że łyknęli dość nowinek, chcieli wracać. Najlepiej było im w domach, przy starych zwyczajach, za ciepłym piecem. Trzeba było pokoleń, aby zbudować imperium.

Dziś żaden reżim nie zmusza do wyjazdów ani do nauki. Decydują wolna wola, chęć poznania i rozwoju, wynikające z praktyki przekonanie o konieczności uczenia się, potrzeba zakładania bibliotek. Ale i dzisiaj, na początku XXI wieku, nie wszyscy rozumieją, że biblioteki należy rozwijać. Mają o nich pobłażliwe zdanie jako o czymś, co niezmiennie istnieje od tysięcy lat. Uważają, że na zawsze wystarczy znajomość budowy kompasu.

Marian Piotr Rawinis

... OD KIEDY PAMIĘTAM Z artystą malarzem Władysławem Ratusińskim rozmawia Marian Panek

Dlaczego zostałeś malarzem i rysownikiem? Co zdecydowało, że połączyłeś swoje życie ze sztuką? Od kiedy świadomie tworzysz?

Od kiedy? Od zawsze, odkąd tylko pamiętam. Pierwsze cykle obrazków - okręty, miejskie pejzaże z architekturą i ludzikami, Zamek Królewski w Warszawie, dworki, stroje ludowe, postaci i sceny historyczne - zbierałem w tekę opatrzoną podniosłym tytułem: „Prace malarskie Władysława Ratusińskiego”. Sygnowałem je inicjałami „WR” i rokiem powstania dzieła, używając charakterystycznego „W”, zapożyczonego od Wyspiańskiego, którego okazały, oprawny w skórę album, był w domu. A potem - jakiego zeszytu ze studiami z natury, obrazki na papierze i tekturze. Studia plenerowe, obrazy malowane w plenerze, plener jako sposób pracy przez lata ulubiony, pozwalający wejść w pejzaż, nie tylko obserwować, ale i chłonąć wyjątkową atmosferę miejsc nieraz pozornie zwykłych. Specyficzny odbiór pejzażu, jego przeżycie - to cechy najbardziej charakterystyczne, z czasem rozwijane, mojego wejścia w sprawę sztuki. Piękne reprodukcje barwne świetnej jakości w wydawnictwach z początku XX wieku kształtowały moją wrażliwość i świadomość od lat najwcześniejszych. Bardzo mnie interesowały dzieła wybitnych polskich malarzy i wiadomości o nich. Matejko, Wyspiański, Mehoffer, Grottger, Michałowski, Rodakowski, Podkowiński, Pankiewicz, Malczewski, Gierymscy, Chełmoński, Wyczółkowski, Fałat, Ruszczyk, Brandt, Kossakowie, Axentowicz, Boznańska,

Ślewiński, Wojtkiewicz, Masłowski. I ulubiony przez moją mamę Jan Stanisławski. Fascynacja jego wielkimi - małymi obrazkami trwa do dziś. Na moje zainteresowanie sztuką miały też wpływ pozostałości Salonu Sztuki taty i dziadka - recenzje z wystaw, zebrane w zeszyty. Tata niechętnie wracał do wspomnień o Salonie. Zmuszony ówczesną sytuacją zamknął go i nie mógł tego potem odzłować. Ale coś niecoś słyszałem. O Feliksie Koperze, o zaprzyjaźnionym kustoszku Kazimierzu Buczkowskim, o obiadach u Kapusty w Krakowie, wizytach u Władimila Hoffmana, u dr. Zbigniewa Mehoffera, syna Józefa, przy okazji wystawy dzieł Józefa Mehoffera w Salonie Sztuki; u Mariana Mokwy, znanego marynisty (dożył prawie stu lat). O podróżach zatłoczonymi pociągami z rulonami obrazów. O Józefie Mączyńskim. I o wujku mojej mamy, malarzu Marianie Klakliku, który dostał medal w Paryżu za obraz „Stary jesień”... A dlaczego? Każdy, kto się sztuką zajmuje, ma tu z pewnością swoją odpowiedź. Masz ją i ty. Wszystkie te odpowiedzi sprowadzają się najczęściej do wewnętrznej konieczności, za którą się idzie, choć koszty bywają różne. Konieczności, której towarzyszą oczywiście jakieś uzdolnienia, predyspozycje, zamiłowania. Tak było i w moim przypadku. Choć rzecz okazała się bardziej skomplikowana ze względu na różne okoliczności, a także na to, że pociągały mnie w równym stopniu różne drogi. Można powiedzieć, że sztuka zwyciężyła. Pewne jednak aspekty tego, co wydawało się pomyłką, jak i tego, co pozostało niezrealizowanymi możliwościami, znajdują teraz dość nieoczekiwane zastosowanie i okazują się pomocne.

Czym dla Ciebie jest własny, indywidualny język sztuki?

Własny język sztuki kształtuje się, zmienia w czasie. Trudno tu przeprowadzić dogłębną analizę. Można jednak zwrócić uwagę choćby na genenezę pewnego aspektu owego języka. Zamiłowanie do ukazywania ludzi w ruchu na ulicach, rynkach i specyficzny sposób tego ukazywania obecne są już w moich najwcześniejszych rysunkach i obrazkach. Później znalazły kulminacyjny wyraz, wręcz wybuchły w konstelacjach pielgrzymich tłumów na dużych formatach płócien. Pisał o nich Wojciech Skrodzki - przytaczając stwierdzenie Jacka Woźniakowskiego - że „dają nowe ujęcie wizualne tak wielkich rzesz w obrazie”, a gdzie indziej tak je cha-



Fot. Piotr Dłubak

rakteryzował: „system jakby pośpiesznie rzucanych na płótno plam koloru, w zbliżeniu prawie abstrakcyjnych, z pewnej odległości – w jakiej normalnie ogląda się obraz – układa się w bardzo plastyczną, przekonywającą wizję owych zbiorowości ludzkich, dążącym ku drogim im symbolom.” O moim malarstwie pejzażowym pisał Piotr Głowacki: „język plastyczny operuje zdecydowaną, mięsistą plamą barwną, stąd też wszystkie elementy przedstawienia wibrują, dając efekt jedności oglądanych ujęć. Artystyczny gest ma w sobie nierealną, pozaczasową atmosferę”. Pejzaże „wyrastają z ducha Młodej Polski (...), mają w sobie duży ładunek radości i świeżości. Ich siła tkwi w niekonwencjonalności i odwadze. Jasne i ciepłe kolory, śmiało zestawione, łączą w sobie wrażliwość Van Gogha i fowistów.” Początek był w miejskich akwarelach Tadeusza Cieśliewskiego - ojca, do którego pracowni w Piotrkowie Trybunalskim jeździli moi rodzice. Zaś sposób patrzenia na pejzaż i przekładania go na język malarskiej plamy, z pewnością w niemałym stopniu zawdzięczam Janowi Stanisławskiemu. Nakładają się na to późniejsze fascynacje z różnych parafii: Sisley, Rouault, Turner, Chagall, Munch, Soutine, Utrillo, Cezanne, wielcy abstrakcyjniści od Picassa i inni. To oczywiście tylko próba doszukiwania się genealogii twórczej, bo przecież język jest własny i bardzo to dla mnie ważne, by był własny, zarówno gdy dotyczy pejzaży miejskich czy wiejskich, kompozycji symbolicznych, metaforycznych, baśniowych, jak i abstrakcji. Trzeba też wspomnieć o tym, co jest związane z językiem w znaczeniu dosłownym – o sposobie odbioru sztuki i pisania o niej. I w tę dziedzinę również wprowadzała mnie krytyka artystyczna z początku XX wieku, z jej charakterystyczną stylistyką - przez takie postaci jak Zenon Przesmycki–Miriam, Feliks Jasieński, Feliks Jabczyński, Tadeusz Żuk–Skarszewski, Stanisław Lack, Stanisław Witkiewicz, Adam Łada–Cybulski i inni.

Pisziesz o różnych problemach związanych z ochroną zabytków i przyrody w mieście. Niestety, wiele Twoich trafnych postulatów jest przez władze miasta nieprzyjmowanych do wiadomości. Dlaczego tak się dzieje?

To pytanie powinieneś raczej zadać owym władzom. Choć może nie jest aż tak źle. Będąc w zespole ds. estetyki miasta, mam teraz, przynajmniej teoretycznie, większą możliwość działania nieograniczonego jedynie do pisania. Prezydent Wrona wykazuje dla spraw z tej dziedziny duże zrozumienie. Podobnie przynajmniej niektórzy z jego ekipy. A że sprawy nie zawsze przybierają najlepszy obrót, to już inna rzecz, uwarunkowana wieloma czynnikami. Jestem przekonany, że właściwe podejście do zachowania, ochrony i kształtowania krajobrazu kulturowego byłoby z ogromną korzyścią dla miasta jako całości, a tak-



Fot. Piotr Dłubak

że dla jego wizerunku i atrakcyjności turystycznej, na czym przecież władzom tak bardzo zależy. Ktoś mógłby uważać mnie za dziwaka czy uparciucha, który utrudnia pracę, wtrącając się w zakres czyichś kompetencji. A tymczasem moje poglądy wcale nie są takie odosobnione. Czasem nawet aż mnie zadziwia całkowita zgodność zdań w rozmowach z niektórymi architektami, historykami, historykami sztuki, artystami, a także pracownikami naukowymi Akademii im. Jana Długosza czy Politechniki Częstochowskiej. Niektórzy z nich współpracują bardzo kompetentnie i ofiarnie w moich działaniach (dr inż. Andrzej Kysiak, dr inż. Kwiryn Wojsyk). Również prace i wypowiedzi przedstawicieli najmłodszego pokolenia świadczą o bardzo podobnym myśleniu i postrzeganiu rzeczywistości. Wgoda by pomyśleć o utworzeniu lobby na rzecz częstochowskich zabytków i kształtu naszego miasta. A wspólnocie poglądów świadczą również podpisy zwiedzających wystawy w Miejskiej Galerii Sztuki pod moimi apelami, manifestami i memoriałami. I pełne oburzenia reakcje kolegów z środowisk artystycznych na pojawiające się żądania „odsłonięcia” kościoła św. Jakuba przez wycięcie starych drzew. To niebezpieczeństwo, jak się zdaje, w znacznym stopniu minęło. Niestety, żądaniom wpływowych

kręgów, by ogołocić Aleję Sienkiewicza, władze nie potrafiły się przeciwstawić. Przykro, że kolejne ekipy samorządowe nie znalazły sposobu, by uratować drukarnię Kohna i Oderfelda, doprowadzając do ruiny z winy Banku Gospodarki Żywnościowej i obecnego właściciela, Firmy "A'block". Ze względu na lokalizację i wartości architektoniczne, historyczny obiekt świetnie się nadawał na muzeum lub centrum sztuki współczesnej. Ale na przykład willa generalska, dzięki decyzji prezydenta Wrony, ma szansę na remont z poszanowaniem historycznego charakteru obiektu i zachowaniem zabytkowej substancji oraz układu wnętrza: reprezentacyjnych sal, oryginalnych klatek schodowych z drewnianymi schodami, boazeriami, zdobionej stolarki drzwiowej i stolarki okiennej. Zachowane będą również wszystkie elementy elewacji oraz mur z żelaznymi ozdobami. Oby tylko coś nie stanęło na przeszkodzie! Należy też mieć nadzieję, że władze miasta, wspólnie z właścicielem - Kurią Metropolitalną, przy współudziale konserwatora, Aleksandry Janikowskiej-Perczak, która się także w sprawę zaangażowała - znajdą sposób zachowania zabytkowego dworku z piękną bramą przy ul. św. Kazimierza 11. Bardzo mi zależy, aby starania - w których mam też udział - o zachowanie we właściwej formie tych dwóch obiektów przyniosły pożądany skutek. Również willa Hoffmana powinna być zachowana wraz z otaczającym ją parkiem i poddana konserwacji bez przeróbek. Przy okazji nie mogę sobie odmówić przyjemności podkreślenia miejskiego sukcesu, w którym nie miałem żadnego udziału: oto po latach prac kamienica przy ul. Katedralnej 8 zachwyca pięknem wnętrza, budzi podziw dla pietyzmu, z jakim je potraktowano, konserwując zachowane elementy i odtwarzając te, które uległy zniszczeniu. Na uzna-

nie zasługują też niektóre przedsięwzięcia z dziedziny kształtowania terenów zielonych, m. in. park w Łasku Aniołowskim i skwer wokół placu zabaw przy Promenadzie. Wspomnę jeszcze o pilnej potrzebie ratowania niezwykle ciekawych obiektów architektury przemysłowej, której całe zespoły (Elanex, Częstochowianka, Peltzery) są zagrożone. Gdzie indziej robi się z tego centra sztuki, galerie handlowe, apartamenty - a u nas? Nie mogę pominąć starań profesora Sawickiego z grupą entuzjastów, by ratować zabytki techniki. Oby znalazłono najlepszy sposób współpracy między Urzędem a tymi społecznikami. No i muszę znów wspomnieć o konieczności zachowania dzielnicy podjasnogórskiej oraz staromiejskiej, ze starymi domami i historyczną nawierzchnią z otoczków. Potrzeba ochrony krajobrazu kulturowego dotyczy też okolic jurajskich. Niszczą ją unikatowe zespoły stodoł we Mstowie i w Zarkach. Zamiast ratować je z użyciem funduszy unijnych - jako wielką atrakcję turystyczną - pozostawiono autentyczne obiekty do ruiny, a fundusze chce się wykorzystywać na budowę niekoniecznych rekonstrukcji z odległych epok.

Czy przebudowa III Alei NMP spełniła Twoje oczekiwania? Moim zdaniem, charakter przebudowy nijak się ma do architektury tej części miasta. Jest nudny i niekonsekwentny.

Najważniejsze jest zachowanie cennego założenia urbanistycznego Alei Najświętszej Maryi Panny jako traktu prowadzącego prosto od kościoła św. Zygmunta na Jasną Górę. Wszelkie zmiany powinny być wprowadzane z wielką ostrożnością, tak by tej wartości nie zakłócać. Dlatego byłem - nie ja jeden zresztą - przeciwny tworzeniu zakolki w III Alei. Skoro jednak już zdecydowano się na te zakola z fontannami, przedstawiłem koncepcję, by fontanny nie były wybierane z katalogu, lecz zaprojektowane jako dzieła indywidualne. Moja koncepcja została przyjęta. Fontanny są realizowane, a autorką rzeźby dziewczynki z gołębiami jest Ewa Maliszewska, twórczyni Piotrusia i innych postaci filmu animowanego „Piotruś i wilk”, nagrodzonego Oscarem. Nawierzchnia z szarego granitu jest odbierana przez wielu jako smutna i nudna. Porównaj, jak piękne i współbrzmujące z architekturą są zachowane gdzieś niedziedzie fragmenty dawnych nawierzchni np. z czerwonego bazaltu albo z żółtego piaskowca opatowskiego, który się dobrze nadaje na ciągi piesze. O otoczkach już nie wspominając. Jak wspaniale działa nawierzchnia w bramach Jasnej Góry (oby tylko jej paulini też nie zrobili na szaro!). Aleje są odpowiednim miejscem dla rzeźby ulicznej. Pierwsza była ławeczka z Ha-



Fot. Piotr Dłubak

liną Poświatowską Roberta Sobocińskiego z Poznania, autora m.in. świętego Starego Marycha. Odślonięto ławeczkę z Biegańskim. Z inicjatywą przeniesienia popiersia Władysława Biegańskiego na plac jego imienia wystąpiło Towarzystwo Lekarskie Częstochowskie. Przeprowadziłem rozmowy z jego przedstawicielami, wysuwając myśl, by w nowym miejscu zaistniała nowa rzeźba. W wyniku dalszych ustaleń - z udziałem dr Beaty Zawadowicz i prezydenta Wrony - zdecydowano pozostawić popiersie, autorstwa Szymona Wypycha, na dotychczasowym miejscu, zaś w Alei, naprzeciw dawnego Szpitala Najświętszej Maryi Panny, postawić ławkę z brązu, z siedzącą postacią. Na moje zaproszenie realizacji podjął się młody rzeźbiarz z Krakowa, Wojciech Pondeł, który się specjalizuje w rzeźbie figuralnej. Szkoda, że obok Doktora nie zasiada jego żona, którą pamiętają jeszcze żyjący dziś częstochowianie. Niefortunne jest wprowadzenie w Alei agresywnych krawężników granitowych i podniesienie pasa z drzewami w stosunku do nawierzchni. Na szczególną uwagę zwracałem dla drzew zwracał uwagę wybitny dendrolog, prof. Janusz Hereźniak. No i jeszcze te donice w formie betonowych bek! Gdyby choć porastały je zimozielone pnącza, tak by powstały zielone formy przestrzenne... Przy wszystkich zastrzeżeniach, porównując nową formę III Alei z tego typu realizacjami w innych miastach, myślę, że powinno być dobrze. Bardzo słuszną jest też tendencja do nadawania III Alei życia – przez organizowanie różnych imprez, kiermaszów itd. Warto pomyśleć o wprowadzeniu dorożek w Alejach.

Jakie masz własne plany artystyczne? Nad czym obecnie pracujesz?

Dalsze działanie na rzecz zachowania zabytkowych obiektów, pisanie o tym, przekonywanie, że to ważne dla miasta, dla kultury. Chodzi o zachowanie i właściwą konserwację także tych budynków, które jeszcze nie są w rejestrze zabytków, ale mają wartości historyczne, architektoniczne, krajobrazowe - i mogą się w rejestrze znaleźć, o ile ich ktoś wcześniej nie zniszczy przebudowami lub dopuszczeniem do ruiny. Ważne jest także, by tam, gdzie zachowały się jeszcze wnętrza odpowiadające historycznemu charakterowi obiektu, uszanować to przy remontach. W planach jest też doprowadzenie do druku dwóch książek albumowych, wykorzystujących materiały z wystaw przeze mnie organizowanych w Miejskiej Galerii Sztuki („Góra Świątyni Pana”, „Wędrowcy”) oraz albumu twórczości Mączyńskich z serii „Artyści Częstochowy”. Po realizacji balustrady na moście w Alejach (projekt według mojej koncepcji powstał przy



Fot. Piotr Dlubak

współdziałanie architekta Marka Gomolucha) - bardzo ważna jest dla mnie budowa fontann w III Alei. Ogromnie mi zależy, by zrealizowany został remont willi generalskiej według mojego projektu. Jest to moja autorska koncepcja, przyjęta przez prezydenta i wszelkie trudności, na jakie napotyka - także nieraz ze względu na moją nieumiejętność ich pokonywania - mocno przeżywam. Zależy mi też ogromnie na uratowaniu dworku przy ul. św. Kazimierza 11, w którym mieszka zasłużony muzyk Eugeniusz Brańka. W najbliższych planach jest realizacja happeningów „Odkopywanie Starego Miasta” na ulicy Granicznej, dla których impulsem są starania o odsłonięcie i przywrócenie dawnej nawierzchni z otoczków i nadanie temu miejscu charakteru uliczki artystycznej. Podobne wysiłki podejmuję, gdy chodzi o historyczny bruk Rynku Wieluńskiego oraz o kształt ulicy św. Barbary, gdzie zachowały się dawne fragmenty nawierzchni kocich łbów. Chciałbym też wrócić do autorskich misterii ekumenicznych, które organizowałem we wnętrzu neogotyckiego kościoła ewangelickiego. To przedsięwzięcia, które łączą wybrane fragmenty Pisma św., muzykę dawną i nową, ekspozycje sztuki i performance. Ważny w tym jest udział duchownych Kościołów chrześcijańskich: paulinów z Jasnej Góry, proboszcza prawosławnego i proboszcza ewangelickiego, przedstawicieli innych wyznań chrześcijańskich i wyznania możeszowego. Spośród uczestników przypomnę znakomitą harfistkę Małgorzatę Komorowską oraz świętego performerę z Krakowa, Marka Chołoniewskiego, którego poznałem na przeglądzie performance, zorganizowanym przez ciebie w częstochowskim BWA. No i oczywiście rzecz podstawowa: malowanie, rysowanie, pisanie (w tym współpraca z „Alejami 3”). Chcę kontynuować cykl

PLASTYKA

„Miejsca najbliższe”. To Częstochowa i okolice, ale także miejsca geograficznie bardziej odległe, bo nie tylko o odległość od domu tu chodzi. Nadal inspiruje mnie pejzaż miejski, architektura i krajobraz wsi, pól, wzgórz. Nie jest przy tym moją intencją „utrwalanie na płótnie” przemijającego, znikającego piękna, tworzenia czegoś w rodzaju malarskiego dokumentu. Te obiekty powinny pozostać w naturze, a nie tylko na obrazie. Mnie natomiast zajmuje szczególnie niepowtarzalna atmosfera i wartości czysto malarskie, ze szczególnym zwróceniem uwagi na konstrukcję, na ekspresję koloru i światła, na siłę malarskiego gestu. Te wartości są mi bliskie zarówno w odniesieniu do kompozycji o inspiracji sakralnej, jak i baśniowej czy abstrakcyjnej. Zaś szlachetna matowość, bogactwo i dźwięczność, harmonia ściszonych kolorów, wykorzystanie podkładu brązowej faktury czy barwnej podmalówki do tworzenia tkanki malarskiej - to cechy warte rozwijania w technice tempery. Nie wykluczam też eksperymentalnych poszukiwań, ale te raczej nie dają się zaplanować.

Czy Częstochowa, Twoim zdaniem, może stać się miastem sztuki? Jakie trzeba stworzyć warunki, by artyści i ich kreacje były w przestrzeni publicznej wartością organizującą życie miasta w wymiarze wypoczynku, estetycznego przeżycia czy egzystencjalnej refleksji?

A czy musi? Czy nie wystarczy, że już jest duchową stolicą Polski? Niech by była miastem żywym, w którym i sztuka ma swoje miejsce. Z funkcją duchowej stolicy utożsamiana jest oczywiście Jasna Góra.

Jak połączyć Jasną Górę z miastem? Czy połączyć się da i czy trzeba? W pewnym sensie musi ona być przecież wyodrębniona, tworzyć swoją oazę. PRLowska władza chciała miasto oddzielić od Jasnej Góry. Obecnie starania miasta idą w kierunku jak najściślejszego połączenia. Argumentując względami ide-

owymi, przedstawiciele instytucji kościelnych widzieliby Aleje Najświętszej Maryi Panny jako Via Sacra. Istotnie, charakter miejsca zobowiązuje do jego szczególnego traktowania. Także szacunek dla wyjątkowego założenia urbanistycznego i architektonicznego. Najlepiej, gdy Via Sacra tworzy się nie w sposób wymyślony, ale z autentycznej potrzeby życia. Tak było w czasie VI Świątowych Dni Młodzieży, gdy całe Aleje żyły śpiewem i radością spotkań. Przyciąganiu pielgrzymów do miasta mają służyć takie inicjatywy, jak utworzenie Muzeum Pielgrzymowania. Czy skutecznie – czas pokaże. Powinno się przede wszystkim wszelkimi dostępnymi środkami tworzyć warunki i zachęty, udogodnienia dla pielgrzymów, które równocześnie byłyby z pozytkiem dla mieszkańców. A więc - mnóstwo barów, jadalni, kawiarenek; z posiłkami urozmaiconymi i niedrogimi – jak najwięcej polskiej kuchni – a nie tylko wszędzie banki, fast-foody i pizzerie. Podwórka, które żyją, a równocześnie zachowują charakter dawnych oficyń – z nawierzchnią z otoczków lub z żółtego piaskowca, czerwonego bazaltu lub wapiennego tufcznia - a nie z betonowej kostki lub szarego granitu; wzbogacone drzewami i kwitnącymi krzewami pnących róż. I właśnie w tak ukształtowanej przestrzeni powinno być miejsce dla sztuki. Nie tylko co trzy lata, na Triennale „Sacrum”, gdy sztuka wychodzi na ulicę w inauguracyjnym misterium; nie tylko co jakiś czas, w formie plenerowych koncertów czy spektakli. Sztuka wysoka i popularna, wszystko, co autentyczne i na odpowiednim poziomie, może tu mieć swoje miejsce. Kiermasze artystycznego rękodzieła, występy zespołów ludowych, teatry uliczne, widowiska różnego rodzaju. Naturalną sceną takich spotkań mógłby być Rynek Wieluński, z odsłoniętą dawną nawierzchnią z otoczków, z zachowanymi starymi domkami. Także działania typu performance czy happeningu oraz plenerowe wystawy mogą zaciekać przechodniów. Zwróciłem uwagę na potrzebę wyjścia sztuki „w miasto”. Ale oczywiście podstawą jest zawsze stała, ambitna działalność galerii, sal koncertowych, teatru i wszystkich instytucji kultury oraz różnych form tego, co się umownie przyjęło nazywać „kulturą niezależną”. W duchowej stolicy szczególnie ważny jest poziom sztuki kościelnej, architektury, malarstwa, rzeźby, dekoracji zmiennej, jak i muzyki. Nieocenioną rolę odgrywają festiwa „Gaude Mater” oraz jasnogórskie koncerty i nagrania muzyki dawnej. Równie istotna powinna być dbałość o muzyczną stronę liturgii sprawowanej w częstochowskich kościołach.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Marian Panek



Fot. Piotr Dlubak



DNI CZĘSTOCHOWY



Fot. Zbigniew Burda

NAGRODY PREZYDENTA MIASTA W DZIEDZINIE KULTURY ZA ROK 2008



Fot. Leszek Pilichowski

Laureaci podczas gali w Filharmonii: Krzysztof Seweryn Wroński (literatura), Marian Florek (teatr), Ludomira Grądzman (muzyka), Tadeusz Erhardt Œrgielewski (muzyka), prezydent Tadeusz Wrona, Elżbieta Chodorowska (plastyka), Tomasz Sętoski (plastyka), Anna Maciejowska (plastyka)

Dawid Okularczyk

CZĘSTOCHOWA KULINARNA czyli KULTURA FRYTKOWA

Zapewne większość potocznej opinii kraju Częstochowę kojarzy z Jasną Górą. Istnieje też jednak spora grupa ludzi, którzy dali by się pokroić, posolić oraz usmażyć za przekonanie, iż to właśnie „Zagłębie Frytkowe” na Starym Mieście przy ulicy Piłsudskiego jest najważniejszym obiektem kultowym w mieście. „Zagłębie Frytkowe” to nie jedyna zresztą nazwa tego miejsca. Funkcjonują także: „Promenada Frytkowa” czy „Fritenstrasse”.

Każde miejsce może być przedmiotem refleksji, zadumy i sentymentu. Ulica Piłsudskiego na pewno posiada wiele takich „mikroprzestrzeni”. Jedne prezentują się bardziej ostentacyjnie, inne trzeba dopiero niejako odszukać dla refleksji. „Promenada Frytkowa” stanowi jeden z większych ośrodków tej ulicy, ale także jedno z „okien” na zewnątrz. Jej znaczenie wykracza bowiem daleko poza ścisłe ramy przestrzenne. Najłatwiej dostrzeżemy to w ustawiających się kolejkach ludzi, którzy „nie są stąd”. Ale przecież nie tylko! Istnieje również dość rozwinięta społeczna świadomość tego miejsca. Dla niemałej grupy osób „Frytkowo” to rzeczywiście bardzo ważny punkt i atrybut miasta. Dlatego proponujemy rekonstruans przez ten zakątek Częstochowy.

HISTORIE

Frytki wynaleźli Belgowie w XVII wieku. Ich ulubionym przysmakiem były małe rybki smażone na oleju. Jednak zimą pojawiały się trudności z ich łowieniem, dlatego zastępczo zaczęto smażyć ziemniaki pokrojone tak, by kształtem przypominały owe rybki. Pierwszy bar z frytkami pojawił się w Belgii, w 1857 roku. Jeśli chodzi zaś o samą nazwę – istnieją dwie wersje. Pochodzi ona albo od pierwszego sprzedawcy frytek (gazety belgijskie nazywały go „Królem frytek”) imieniem Fritz lub źródłostwem jest francuski wyraz „frités” (od „frire” – smażyć). Potem frytki zaważowały Wielką Brytanię (tzw. „fish and chips”) i Stany Zjednoczone (wraz z powracającymi z frontów pierwszej wojny światowej żołnierzami). Natomiast, jak się wydaje, druga fala popularności frytek na świecie wiąże się w dużej części z ekspansją wielkich amerykańskich sieci „szybkiego jedzenia”.

W Polsce Ludowej frytki nie były oczywiście aż tak popularne. Ponoć czymś znacznie bardziej popularnym były wówczas placki ziemniaczane. Mała gastronomia zaczęła na dobre funkcjonować wraz z początkiem przemian a frytki stały się jednym z ich symboli (tak jak hot-dogi czy zapiekanki). W Częstochowie dla frytek zaadaptowano początkowo budki i kioski, które stały tu już od lat 60. Dotychczas jednak sprzedawano w nich słodką watę, lizaki czy oranżadę. Frytkową legendę i specyfikę tego miejsca zainicjowali osiemnaście lat temu swoim „Guciem” państwo Ciesielscy. Na przestrzeni tego czasu zmieniał się wygląd i estetyka większości „budek”. Jedne odnawiano, inne zniknęły, przybływały nowe. Zmieniali się właściciele, zmieniał się i asortyment. Początkowo frytki robiono „domowym sposobem” – obrane i pokrojone ziemniaki czekały już (na gorący olej) w beczkach z wodą bezpośrednio na miejscu. Podawano je w szaroburęj torebce (niektórzy pamiętają też tekturowe talerzyki), najczęściej jeszcze bez widelczyków. Jako dodatek oferowano jedynie sól, potem pojawił się ketchup. Powstały nowe wymogi: trzeba było zrezygnować z „domowego sposobu” (niektórzy wciąż tego żałują) i robić frytki z zamrożonych półproduktów. Zmienił się również kształt frytek. Najpierw oczywiście były to zwykłe, gładkie, nieregularnej długości frytki, potem już karbowane. W 2007 pojawiły się tzw. „talarki” (tradycja ponoć z Austrii). Każdy z tych rodzajów ma swoich zaprzysięgłych zwolenników. Przy talarkach powstał nawet pewien scholastyczny spór: czy aby na pewno jest to jeszcze rodzaj frytek (substancjonalnie raczej tak, ale ich kształt... to już zwyczajna herezja!). Gdy poparzyśmy z perspektywy, wielkie wrażenie musi jednak robić przede wszystkim przyrost, bogactwo i pomysłowość jeśli idzie o dodatki. Jak już wspomnieliśmy, „na początku była sól”, potem ketchup (co dało w sumie dwie gałęzie dodatków: sypkich i płynnych). A dziś? Cóż za przepych, cóż za egzotyka! Pieprz, papryka, vegeta, „warzywko”... Majonez (to już taka klasycznie belgijska czy niderlandzka tradycja), musztarda, sosy: koperkowy, curry, czosnkowy, salsa, „1000 wysp”, jaryzynowy... Istnieją oczywiście puryści, którzy uznają (wyznają) tylko klasyczne, minimalistyczne formy.

I przez te wszystkie lata „Zagłębie frytkowe” cieszy się wciąż popularnością a zarazem unikatowością. Nigdzie bowiem w Polsce chyba nie ma takiego miejsca. Żyjąc w innych miastach, to właśnie (również) za nim częstochowianie tęsknią...

Z ŻYCIA CODZIENNEGO

Jeżeli już są gdzieś poza Częstochową jakieś „frytki z budki”, to kosztują ze dwa razy drożej i dwa razy gorzej



smakują. Nie ma tam zresztą tej atmosfery, historii i wspomnień... Słyszeliście może te dyskusje? Które lepsze frytki, które „prawdziwsze”: karbowane czy gładkie, miękkie czy przypalone i twarde, z solą czy może z vegetą, z papryką czy pieprzem, z keczupem albo z majonezem, z musztardą czy z sosem. A widelczyk – jaki? A może palcami? Torebka szarobura, ze swojskimi plamami oleju czy może taka sama, ale w foliowej oslonie? Ale przecież może być również biała, czy nawet trójkątna w błękitną kratę! Istnieje nawet pewien ranking: która „budka” aktualnie najlepsza. Tak więc jeżeli są jakieś incydenty czy dolegliwe niedociągnięcia, „kontrola obywatelska” czuwa - wystarczy przejrzeć szczerze do bólu fora internetowe, by zorientować się co zmienić, poprawić. Zresztą, nawet te niedostatki są tu przekuwane w pozytywne doznania, co świadczy tylko o sympatii żywnionej do „Promenady Frytkowej”. Bo jeśli coś jest nie tak, to, jak ktoś napisał, „przynajmniej jest pretekst do wyklócania się”.

Tak, życie codzienne „Fritenstrasse” toczy się naprawdę w różnych wymiarach. Każda „budka” ma swoich stałych klientów, kierujących się różnymi kryteriami uznania. Często jest to właśnie nostalgia za pewną „serdeczną zgrzebnością” minionych lat lub popularność wiąże się z przeżyтыми wydarzeniami, które potem obstrają legendą. Np. „Gucio”... Nie należy jednak traktować tego jako jakiegoś aktualnego wyróżnienia (że niby frytki są tu najlepsze). Nie, bowiem w tym sensie mamy raczej coś w rodzaju archeologicznego tapnięcia, gdzie prosta ciągłość ulega zerwaniu. Frytki smakują tu więc na pewno inaczej niż kiedyś. Zmienił się również właściciel. Nie zmieniła się za to nazwa czy sam kioski. I to akurat rzeczywiście wiąże się z pewnymi sentymentami. Wiedzą coś o tym np. chłopaki z ul. Katedralnej, swego czasu niezmordowanie koczujący pod „Guciem”, by na koniec dnia, za swą lojalność móc otrzymać to, co się akurat już nie sprzedawało. Wciąż spotyka się tu sporo dawnych znajomych. Jest to dodatkowa, oprócz towarzyskiej, korzyść – można przecież podłączyć się do kolejki, od razu przeskakując kilka przystanków. Stary dobry „chwyt kolejkowy”. A to jest tutaj akurat ważne, bowiem dla wielu osób w wyborze „budki” brak kolejki jest rzeczywiście zachęcającym czynnikiem. Musimy być jednak czujni. Można bowiem natknąć się na różne pułapki i wyjść na zwyczajną gapę, np. wtedy, gdy nieoczekiwanie cała zawartość pojemnika z przyprawą laduje nagle w naszej torebce! Widzimy wtedy te migające zewsząd umieszki. Ale co robić: zarty...

Choć największe natężenie ruchu ma miejsce w godzinach 12-17, to właściwie prawie zawsze i niemal o każdej

porze jest tu coś otwarte. Z tego punktu widzenia szczególnie pamiętny był chyba dzień 16 sierpnia 2007 roku. Ludzie jak co dzień przychodzą na frytki, a tu kłapa – wszystko pozamykane! Szok, stres i konsternacja. Jak to? Na ulicy Piłsudskiego nie można dziś dostać frytek?! Co uważniejsi dostrzegli zawiadomienia z elektrowni o przerwie w dostawie prądu, to był ten powód. Sprawa się więc szybko wyjaśniła, wszyscy oddechnęli z ulgą a „Frytkowo” znów nas karmiło, tyle że później, bo dopiero wieczorową porą.

Takich anegdot czy obyczajów dnia powszedniego można tu zebrać całą masę. Ale „Zagłębie Frytkowe” bierze również czynny udział w wydarzeniach odświętnych. Wystarczy wspomnieć choćby uczestnictwo w Orkiestrze Świątecznej Pomocy, kiedy to właśnie tu dbano o aprowizację częstochowskich wolontariuszy.

O TEORIĘ (sub)KULTURY

Zwróćmy uwagę na jeszcze jeden aspekt, bardziej teoretyczny. Warto pokusić się o poważniejsze badania miejsc, w których na co dzień funkcjonujemy.

„Frytkowo” stwarza dogodną możliwość przeprowadzenia poważniejszej obserwacji (uczestniczącej) czy wręcz badań terenowych. Jednym ze sposobów jest nowoczesne studium etnograficzne, starające się spenetrować jak największe obszary życia by, stosując różne podejścia oraz narzędzia teoretyczne, odkryć (albo tylko wyartykułować) ich zaskakujące (lub już intuicyjnie przezuwane) możliwości, warunki, specyfikę, znaczenia czy sprzeczności. Na czym polegałaby wspomniana dogodność? Otóż jest to niewielka, względnie zamknięta, przestrzeń, znajdująca się niejako „na zapleczu” miasta (a takie „zapleczu” szczególnie etnografie zajmują). Koncentracja ludzi na niedużym obszarze - możliwość przeprowadzenia wywiadu kwestionariuszowego wśród jak największej liczby „aktorów”; możliwość obserwacji jako całości i z różnych perspektyw. Ale najistotniejsze jest chyba to, że mamy tu do czynienia z istniejącą w mocny sposób specyficzną konstrukcją społeczną, z którą emocjonalnie utożsamia się pewna (możliwa do przebadania) grupa ludzi. Jest to więc przestrzeń, która powstała także w procesie tworzenia znaczeń.

W funkcjonowaniu takich miejsc siłą rzeczy spotykają się tendencje bardziej ogólne z lokalnymi. Studium elementu „popkultury”, wycinka miejskiego czy „miejskiej (sub)kultury ludowej” zawsze jest uwikłane w szerszy kontekst modalności (możliwości) miasta, regionu, społeczeństwa-narodu czy wreszcie całego „systemu-świata”



Fot. Leszek Piłchowski

(Wallerstein), jakim w naszym przypadku jest współczesny kapitalizm. Dlatego chcemy (z konieczności) jedynie zasugerować kilka ogólnych i prowizorycznych linii (hipotez) refleksji, które należałoby dopiero rozwinąć lub zweryfikować w bardziej systematycznych badaniach. Zdajemy sobie sprawę z trudności stosowania tu takich terminów jak „subkultura” czy „kultura popularna”. Wyjaśnianie tych trudności zajęłoby jednak zbyt wiele miejsca, dlatego pomijamy tu problem prawomocności stosowania owych pojęć (wymienne czy w różnych kontekstach).

Tak więc na horyzont, który w „czytaniu” tego miejsca narzuca nam się w pierwszej kolejności, składają się aspekty stosunkowo łatwo jeszcze uchwytnie: temporalno – przestrzenno – komunikacyjny oraz ekonomiczny. Powiemy więc, że na popularność tego miejsca zapewne składa się (m. in.) neuralgiczne, strategiczne położenie „Zagłębia”. Jest to część pewnego szlaku komunikacyjnego: między stacją PKP a centrum miasta. Stąd spora liczba osób przyjeżdżnych (stanowią oni również żywą reklamę: niosą sławę tego miejsca dalej). I o ile nie dziwi, iż mamy tu do czynienia z młodzieżą szkolną i studentami (ale także z pewną liczbą osób w mundurach: kolejjarze, sokiści, ochroniarze), to na pewno domaga się zastanowienia znacząca nieobecność osób dojrzałych, które również dojeżdżają pociągami – do pracy.

Wracając do problemu położenia „Zagłębia” – na dobrą sprawę należałoby powyższe uwagi wziąć jednak w pewien nawias, bo przecież nie jest to (na ul. Piłsudskiego) wcale główne i „reprezentacyjne” wejście/wyjście z dworca. Takim bowiem jest ono od strony Placu Rady Europy, z którego zresztą na ogół szybciej i łatwiej dojść do szkół czy uczelni czy nawet do ścisłego centrum. A więc można przyjąć, że nadklada się tu trochę drogi.

Takie danie, jak frytki, u nas je się zazwyczaj po południu (szczyt frekwencji w dniu powszednim do godziny 12-17), czyli na ogół już „po szkole”. Wobec tego ma się też większy margines czasu i, biorąc pod uwagę, że w Polsce spożywa się na ogół 3-5 posiłków dziennie, trafia się pewna koniunktura: czas posiłku – czas powrotu. Oczywiście, nie chcemy się tu wdawać w takie szczegóły, jak stosunek osób miejscowych do przyjeżdżnych i stosunek frekwencji dni powszednich do weekendów, ale być może częstochowanie częściej odwiedzają te miejsca w sobotę czy niedzielę? Nie ma tu takiego natężenia ruchu samochodowego, jest względnie spokojnie (?), a do tego w pobliżu mamy

galerię i muzeum... Zresztą nawet młodzież nie mieszkająca w Częstochowie potrafi przyjechać tu w „weekend”, specjalnie tylko na frytki.

Jest coś, co chyba jeszcze mocniej jednoczy zarówno przyjezdnych, jak i miejscowych: wymiar gospodarczy, „ekonomia polityczna” naszego „Zagłębia”. Mamy tu skondensowaną możliwość zbadania problemu funkcjonowania kapitalizmu w ogólności, ale także w specyfice tego właśnie miejsca. Warto więc przyrzeć się temu bliżej.

Ktoś powiedział: „nigdzie w Polsce nie ma tak takich frytek (czasem są tańsze od samych ziemniaków), nagromadzonych w jednym miejscu”. A jeszcze dodatki są gratis! W pewnym sensie możemy więc mówić o demokratycznej „funkcji społecznej” naszego „Frytkowa”, bo chyba nigdzie w mieście nie można tak tanio i szybko „przekąsić” czy wręcz najęść się ciepłym i w sumie smacznym posiłkiem. Mają w tym udział m. in. takie kapitalistyczne mechanizmy, jak konkurencja czy walka o klienta. I efektem, który bardzo dobrze widać na przestrzeni tych wszystkich lat, jest to, że poszerza się zarówno oferta, jak i dostępność. Ale, o ile po stronie konsumentów jest rzeczywiście spora korzyść, to przecież nie może jej też nie być i po stronie właścicieli „budek” z frytkami, ponieważ podstawową racjonalnością kapitalistyczną właścicieli nie jest bynajmniej działalność „charytatywno-społeczna”, lecz zwyczajny, nagi zysk.

Przyjrzyjmy się lepiej owej „konkurencji” i „walce o klienta”. Otóż istnieją jakby dwa punkty odniesienia dla konkurencji: wewnętrzny i zewnętrzny. Jeśli idzie o konkurencję pomiędzy „budkami”, to tu akurat nie polega ona bezpośrednio na różnicach cen; w tym zakresie utrzymuje się pewna (niema czy uzgodniona?) „solidarność”. Nie będziemy tego roztrząsać. Tutaj chodzi raczej o jakość, pomysłowość ofert, wachlarz dodatków (ale także i o warunki sanitarne, estetyczne czy – również – sentymentalne: np. legenda „Gucia”). I choć wydaje się, że to właściciele dyktują warunki, to oczywiście na dłuższą metę są to relacje obustronne (klienci „głoszą” swoimi wyborami spośród zastanych możliwości. Coraz częściej jednak to frytkowi amatorzy wywołują – a przynajmniej powinni – reakcję sprzedawcy, poprzez fora internetowe). Rozpatrując natomiast „Zagłębie Frytkowe” jako pewną ekonomiczną całość, ale w stosunku do innych frontów małej gastronomii w mieście, musi zastanawiać przewaga w tej konkurencji - cenowa „preferencja” tego miejsca. Czy nie ocieramy się tu aby np. o dumping? Kwestia jest skomplikowana, ale zupełnie oczywistą tendencją kapitalistyczną jest: „produkować jak najtaniej, zarabiać jak najwięcej” – np. produkować, jeżeli ktoś ma takie (monopolistyczne) możliwości, poniżej kosztów (do czasu, aż wybiję się konkurencję), albo produkować na bazie jakościowo gorszych półproduktów, albo wyzyskując wreszcie swoich pracowników (pensa i czas pracy). W tym sensie zresztą jest to także kwestia jak najbardziej wewnętrznej konkurencji, tyle że wtedy jest ona ukryta pod pozorem równości cen frytek we wszystkich „budkach”. Takie „wyparcie” jednak powraca - sym-



Fot. Leszek Piłchowski

tomatycznie ujawnia się np. w ilości gratisowych dodatków, nie wszystkie bowiem budki mogą sobie pozwolić na taki sam asortyment w tym zakresie. Ale może koszty przygotowania frytek wraz z dodatkami rzeczywiście są aż tak niskie? Być może jest to kwestia „sprytu” i kontaktów (tani dostawcy)? Nie przesądzamy: są to jedynie hipotezy do badań...

Wspomnijmy jeszcze o wygodzie (komu się chce robić frytki w domu?) i szybkości (oszczędność czasu, który może być wykorzystany na coś innego) takiego posiłku, co w sumie również składa się na bezpośrednie przyczyny popularności tego miejsca.

To, co teraz z kolei chcemy poruszyć (zamarkować) w naszej charakterystyce „Frytkowa”, można określić mianem „ekonomii symbolicznej”, jako bardziej subtelnej i trudniej zauważalnej warstwie uwikłań społeczno-kulturowych (społeczno-symbolicznych). Bowiem to, co jemy i jak, kiedy, gdzie i dlaczego, może „wspierać” ideologie czy też mity (Barthes) naszego życia codziennego, wywoływać w nas różne konotacje, spontanicznie traktowane jako „neutralne” i „naturalne” (jedzenie jest tym szczególnie wdzięcznym nośnikiem znaczeń, które bardzo łatwo jest utożsamiać po prostu z naturą). Jak to pokazał nam niedługo Lévi-Strauss w słynnym tekście Trójkąt kulinarny, w przypadku przyrządzanego jedzenia (a więc kulturowo obrabianego) mamy do czynienia nie tylko z „rzeczami do spożycia”, ale i – z artefaktami, którymi się myśli o otaczającej nas rzeczywistości. To, co jemy, może symbolizować np. różnice społeczne, które poprzez pozornie tylko naturalne obiekty oraz praktyki, stają się dla nas czymś przezroczystym, czymś oczywistym. W społeczeństwach ludzkich rola (a nie cel) jedzenia nie ogranicza się więc tylko do bezpośredniej funkcji spożywczej.

Znaczenie jednak jest zawsze przynajmniej ambiwalentne (Bachtin), dlatego poprzez różne sprzeczności możemy je zdaturalizować lub przynajmniej przeoczyć inne możliwości. Nie chcemy się zatrzymywać na takich prostych spostrzeżeniach jak to, że dla jednych frytki to pełnowartościowy posiłek a dla innych jest to zaledwie rozrywka, dygresja kulinarna. Albo że niektórzy nie wezmą w ogóle do ust takiego dania, nie tylko dlatego, że im nie smakuje, ale i również – że im się właśnie „źle kojarzą”. Dla jednych jest to więc kult, dla innych „obciach”. I warto dowiedzieć się, dlaczego. Mamy tu bowiem cały skomplikowany spłot znaczeń tego, co jest społecznie akceptowalne, dopuszczalne, a co nie. Należałoby więc rozpatrzeć jak taki posiłek wpisuje się w kulturowe kody wieku (starsi/młodszy), kody statusu (najogólniej: plebejskie/elitarne), płci (kobiecy/męskie), „miejsca” (swojskie/obce, egzotyczne). Ambivalencja w przypadku frytek jest ewidentna i chodziło o to, jak te sprzeczności rozkładają się społecznie wśród uczestników. Możemy tu jedynie bardzo pobieżnie sprowokować, zasugerować teoretycznie owe linie napięć.

Jeśli chodzi o kategorię „miejsca”, mamy w tym momencie na myśli oczywiście nie przestrzeń empiryczną, lecz kwestię tożsamości - wręcz

narodowej! Niektórym np. przyjdzie zastanowić się, czy aby popularność frytek nie jest związana z amerykańskim imperializmem (pop)kulturowym? Bo, mimo, że frytka jest jak najbardziej europejską tradycją, to dziś rozpoznajemy ją raczej właśnie od strony ekspansji wielkich amerykańskich sieci „fast-food”. A wiadomo, że to właśnie młodzi ludzie są szczególnie podatni na taką indoktrynację. Tak więc to, co należy do „amerykańskiego stylu życia”, utożsamiamy z czymś lepszym (np. kanapka z tuńczykiem jest „cool” a chleb ze śledziem – to już „wiocha”) i koniecznie chcemy to zinternalizować, wchłonać, być tacy jak oni. Ten wymiar ma zresztą także swoje „uzasadnienie” w obszarze polityczno-historycznym naszego kraju. Niektórzy jednak dokładniej z tego samego powodu nie wezmą właśnie frytki do ust. I nie jest to wcale jakaś „nadinterpretacja”, tylko realne problemy polityki kulturalnej i kulturowej (bo to nie to samo) państw i ich obywateli (pomyślmy choćby o Francji z jej aktywną polityką w tym obszarze). Wydaje się więc, że o ile u nas na poziomie państwowym wybrano całkowitą pasywność wobec tej nowej „rusyfikacji”, to obywatele przecież mogą być - i są - aktywni w tym polu tożsamości.

W naszym jednak konkretnym przypadku istnieje pewna modyfikacja, która raczej powinna kojarzyć się z tradycją belgijską, francuską czy austriacką – a więc europejską (małe „budki”, w miarę kameralne miejsce, obecność jeszcze przed ekspansją wielkich sieci „fast-foodów”). No, ale czy w ogóle możemy kojarzyć frytki z „polską tradycją”? W końcu mamy tu ulicę Piłsudskiego! Czy frytka kojarzy się z „polskością”? Nie jest to aż tak zakorzeniona wiekowa specyfika jak, powiedzmy, kluski śląskie z modrą kapustą, łelowski ciulim, toruński piernik czy góralski oscypek. Jednak faktem, który ustawia się jakby w poprzek skrajności, jest to, że ostatecznie mamy do czynienia z naszym poczciwym kartoflem - inną formą przyrządzania swojego warzywa (które przecież kiedyś też przyszło z zewnątrz, a więc nie było wcale takie „swojskie”!).

Jeśli chodzi z kolei o status, to, w nawiązaniu do wspomnianego już tekstu Lévi-Straussa, moglibyśmy również zauważyć, że frytki – jeśli brać pod uwagę sposób ich przyrządzania, surowiec i cenę, kojarzą się raczej z tym co „plebejskie”, ale i także przecież, w pewnym stopniu, z tym co „arystokratyczne” czy „elitarne” (smażenie w przeciwieństwie do gotowania).

Dalej. Jeśli weźmiemy pod uwagę szybkość i wygodę takiego posiłku oraz to, kto ustawia się w kolejkach, to mamy prostą drogę do kolejnych utożsamień: młodzieży



Fot. Leszek Piłchowski

np. z „nowoczesnością” albo z „chaosem” czy „lekkomyślnością” lub „zmysłowością”; starszych zaś z „zacołaniem” albo „porządkiem”, „powagą” czy „refleksyjnością”. Co jeszcze? Nietrudno też zauważyć reprodukcję pewnych podziałów wzorców płci. Kto przeważnie kupuje? Mężczyźni, chłopcy. Kto sprzedaje? „Oczywiście” kobiety, dziewczyny. A więc utrwalanie pewnego podziału ról (kobiety gotują dla mężczyzn) czy też patriarchalnych stereotypów (choćby: mężczyźni – mobilność, kobiety – bierność, stacjonarność). Ale czy kobiety, dziewczyny nie kupują frytek? Owszem, jednak jest ich jednak mniej. Może to więc konotować dalej pewne tradycyjne modele „kobiecości” i „męskości” - skoro „frytki z bučki” są daniem tłustym, ciężkim („niezdrowym”) i brudzącym. Tymczasem „kobieta ma być” przeciwieście szczupła, delikatna, subtelna... Z drugiej strony - ta zwiększająca się mniejszość kobiet wśród klientów naszych miejsc (co nie oznacza: nie dbajmy o ich schludność i wygodę).

W nawiązaniu do tego ostatniego motywu, alternatywę („może być inaczej”) stwarza samo istnienie takiego specyficznego miejsca, opierającego się kapitalistycznej uniformizacji. Jest to mniej więcej taki głos: czy wszystko musi być takie ujednolicone, aseptyczne, zimne i bezduszne? Czy wszystko musi się kiczać w handlowy w formie marketów lub mini centrów kulinarno-handlowych? Czy wszystko musi być rozpaczywie takie same? Zostawmy (ale czy to możliwe?) dawny urok naszych miejsc (co nie oznacza: nie dbajmy o ich schludność i wygodę).

Możemy też zarejestrować inne sprzeczności w znaczeniach „Fritenstrasse”. Pewnej części osób miejsce to kojarzy się z wykłętym PRL-em. Dlatego tam nie chodzi. Rzeczywiście, niektóre „bukki” są reprezentacją tamtych czasów. Niektórym to może się właśnie podobać (dziś jest taka moda na „rekonstrukcje historyczne”). Nie chodzi zresztą o same „bukki”, ale raczej o pewien niezobowiązujący „klimat”. Bo choć już prawie wszystko się tu zmieniło, to jednak coś zostaje: pewien rytuał, miejsce spotkań, miejsce wspomnień. W tym sensie istnieje pewna (coraz słabsza) ciągłość zachowań czy „nastroju”. Jednak, z drugiej strony, frytki i frytkową ulicę niektórzy identyfikują właśnie jako jeden z małych symboli demokratyczno-kapitalistycznych przemian. I rzeczywiście, jest to mniej więcej ten czas (początek lat 90.). Jednak – znowu – nie może chodzić oczywiście o wciąż „te same” frytki lecz raczej o ogólną kategorię tego miejsca i takiego jedzenia.

Na koniec jeszcze parę innych tropów. Weźmy np. pod uwagę znaczenie wspomnianej już liczby i rodzajów dodatków. Nasuwa się takie oto spostrzeżenie: jak się ta granica tolerancji, społecznej dopuszczalności tego, co z czym i kiedy można jeść, jednak poszerzyła! Jak się te sztywne reguły metonimiczne (łączenia) rozluźniły. A więc i w jedzeniu odnajdujemy znaczenia demokracji i wolności. Co jeszcze? Na pewno pozytywnie waloryzowane może być położenie „Promenady” w sensie wizerunku miasta – jako miasta nie tylko specyficznego (nigdzie nie ma takiego miejsca), ale i „przyjaznego”: witającego i żegnającego przybyszów smaczny oraz tanim jedzeniem. Dla niektórych jednak nie będzie to oczywiście dobra wizytówka miasta. Inni zaś („goście”) w ogóle nie dowiedzą się nigdy o tym miejscu – skoro nie wyjdą z dworca od strony ulicy Piłsudskiego.

Inną ciekawą konsekwencją symboliczną może być to, że w najbliższej przestrzeni „Frytkowa”, mamy przecież Zachętę oraz Muzeum-Galerię (ul. Katedralna)! Już

nie będziemy tego rozwijać, ale jeżeli istnieje tu taka synchronia rzeczy „przyziemnych” i „wzniosłych” (oczywiście wydzielonych pewnymi oficjalnymi ramami urzędowymi), to dla niektórych może być w tym coś nader znaczącego. Jest to też jakaś (a przynajmniej powinna być) prowokacja dla instytucji „wysokiej kultury”, skoro ich rola polega m. in. na refleksyjnym podejściu do całej rzeczywistości. Wobec tego, może należy także wyrwać „z codzienności” właścicieli „budek” i wspólnie zastanowić się nad tym, jak na nowo – artystycznie - przemyśleć, uatrakcyjnić tą, wspólną bądź co bądź, przestrzeń? Tu zaś się prosi o taką demokratyczną transgresję (przekroczenie): niech sztuka wyjdzie na ulicę, niech nie zamyka się w getcie czterech ścian! Na pewno będzie to jakaś obustronna... zachęta. A może wprowadzić frytki do galerii? Oczywiście, nie tyle dosłownie, co jako tematyzacja pewnych przedsięwzięć artystycznych?

INTERWENCJA I POSTULATY

Pierwsze, co chcielibyśmy tu chyba wszyscy zmienić, jest to, aby na uwagi czy interwencje ze strony klientów nie odpowiadano wciąż irytującym zaklęciem w stylu: „ja tu tylko sprzedaję”. Druga kwestia. Mimo, że frytki kojarzą się raczej z „szybkim i mobilnym jedzeniem”, wiele osób właśnie narzeka, że nie ma to nawet gdzie usiąść. Zanim dojdzie się na wolne ławki w Alejach, wszystko jest już dawno zimne albo zjedzone. Co prawda, możemy iść na pobliski betonowy murek, ale tam na pewno dostaniemy „wilka”. Ponadto jest niewygodnie. No to jest jeszcze dzwonek PKP. Tam znowuz jakiegoś głupio – ostatecznie to miejsce nie służy do takich celów. „Promenada Frytkowa” powinna zresztą być samowystarczalna, autonomiczna w tak zwyczajnej sprawie. Dlatego aż się prosi o jakiegoś ławki i „zadaszenie”, które mogłoby np. słać „bukki” w jeden frytkowy kompleks (co nie znaczy – ujednolicić, zredukować barwną różnorodność do wspólnego mianownika jakiegoś marketu). Bo zastanowimy się, jeżeli jest to rzeczywiście jeden z charakterystycznych punktów miasta, to chyba warto lepiej zadbać o „marketingową” koordynację, o bardziej świadome wydzielenie tego miejsca? Mogłoby to być również np. jakieś plakaty typu „Wstap do nas na frytki!”. Jakiegoś ulotki (w pociągach?) czy nawet pocztówki. Jako część promocji miasta, można przecież do frytek dodawać właśnie coś w rodzaju obrazków-pamiętek z napisem typu: „Do Częstochowy na frytki!” lub „Byłem/Byłam w Częstochowie na frytkach!”. Nad tym wszystkim musieliby chyba wspólnie pomyśleć właściciele „budek” oraz urzędnicy miejscy (a nawet artyści związani z Zachętą?). Byłoby jednak nie odbiło się to na cenie! Można wreszcie postarać się również o wymyślenie (i wdrożenie) formuły dla jakiegoś „frytkowego święta”, zawodów, konkursu? Zaangażować do tego patronat lokalnych gazet czy nawet TVP (redakcja w Częstochowie)?

Jak więc widać, snują się po głowie różne pomysły - pomysły, które pomogłyby rozwinąć kulturalny potencjał tego miejsca.

Dawid Okularczyk

Literatura wykorzystana:

Barthes Roland, *Mitologie*, tłum. Dziadek A. Warszawa 2000.
Barker Chris, *Studia kulturowe. Teoria i praktyka*, tłum. Sadza A., Kraków 2005.
Lévi-Strauss Claude, *Trojkat kulinarny*, tłum. Cichowicz St., w: „Twórczość” 1972, nr 2.



Leszek Pilichowski – Ulica Filomatów

WIELOSMAKOWA SAŁATKA ROZRYWKOWA Z Danielem Pomorskim rozmawia Dominika Radkowska

Daniel Pomorski – rocznik 1980, częstochowianin; instrumentalista – najczęściej gra na trąbce, ale również na kontrabasie, akordeonie, klawiszach, gitarze. Ukończył Liceum Muzyczne w Częstochowie ucząc się gry na fortepianie, akordeonie, potem trąbce. Studiował na Wydziale Jazzu i Muzyki Rozrywkowej Akademii Muzycznej we Wrocławiu. Ma w bogacym się dorobku współpracy m.in. z wykonawcami: Mietkiem Szcześniakiem, Marcinem Pospieszalskim, Mateuszem Pospieszalskim, Lidią Pospieszalską, Januszem Iwańskim, Justyną Steczkowską, Ryszardem Rynkowskim, Grażyną Łobaszewską, Natalią Kukulską, Natalią Niemen, Piotrem Baronem, Henrykiem Majewskim oraz m.in. z zespołami: „The Crackers Band”, „Tumbao”, „Arka Noego”, „Deus Meus”, „Raz, Dwa, Trzy”, „Nefre”, „New Life’m”, „Maleo Reggae Rockers”, „Habakuk”, „Five o’clock Orchestra”, „Trio Siergieja Wovkotrubu”. Z dwoma ostatnimi zdobywał „Złote Tarki” na Międzynarodowych Festiwalach Jazzu Tradycyjnego Old Jazz Meeting w Hawie. Uehonorowany I miejscem w konkursie jazzu tradycyjnego Swingujący Kruk w ramach częstochowskiego Festiwalu Hot Jazz Spring 2007.

Współpracujesz z wieloma znanymi zespołami i wykonawcami. Kiedy zauważyłeś moment, w którym pojawiły się przed Tobą takie możliwości?

Już w czasie studiów, gdy zacząłem występować z „The Crackers Band” i „Tumbao” – wrocławskimi zespołami, z których pierwszy gra muzykę funky, a drugi reggae – nawiązały się kontakty z muzykami z zespołu „Raz, Dwa, Trzy” i miałem okazję towarzyszyć im w koncertach.

Występujesz w składzie reaktywowanego zespołu jazzu tradycyjnego „Five o’clock Orchestra”. Jak widzisz się wśród starszych kolegów?

Chłopaki z zespołu śmiali się, że obniżam im średnią wiekową. Oczywiście, dogadujemy się między sobą. Muzyk z muzykiem, młodszy czy starszy, dużo bardziej się rozumieją. Analogicznie jest z porozumiewaniem się na świecie jeśli chodzi o kwestie muzyki. Nawet gdybym pojechał do Japonii, USA, czy gdziekolwiek i zagrał z muzykami stamtąd, „dogadamy” się muzycznie. Muzyka jest językiem świata. Tak samo wiek nie odgrywa roli, nie ma takich barier. Muzyk z muzykiem, młodszy czy starszy, rozumieją się. Początkowo wszedłem do składu zespołu, a ostatnio gram zamiennie z Tadeuszem Orgielewskim. Niedawno występowaliśmy w Warszawie w Fabryce Trzciny, świetnym klubie z klimatycznym wnętrzem. Miło było zagrać na scenie, gdzie grzywał Stańko, Możdżer, Anna Maria Jopek i inne gwiazdy. Następnego dnia mieliśmy koncert w Częstochowie.

Złote Tarki w Hawie zdobywałeś z zespołami Five o’clock i Trio Siergieja Wovkotrubu. A nagroda w konkursie Swingujący Kruk na Festiwalu Hot Jazz Spring 2007 była nagrodą indywidualną?



Fot. Piotr Dłubak

Tak, to nagroda indywidualna w konkursie jazzu tradycyjnego. To był konkurs dla solistów, należało wykonać z sekcją, czyli zespołem akompaniującym, jeden standard wylosowany i dwa przygotowane.

W rankingu miesięcznika „Jazz Forum” pojawiłeś się w kategorii Nadzieja Polskiego Jazzu. Na czym polegał ten ranking?

Na kandydatów głosują ludzie z całej Polski. Później głosy są sumowane, a wyniki w różnych kategoriach publikowane na łamach „Jazz Forum”.

Grasz z różnymi zespołami wiele gatunków muzycznych: reggae, funky, rock, różne odmiany jazzu. A jak się zapatrujesz na granie w orkiestrze symfonicznej?

Teoretycznie – jestem trębaczem-jazzmanem. Mój profesor z Liceum Muzycznego namawiał mnie, żebym nie szedł na jazz, ale na klasykę, a z jazzu zrobił fakultet. Nie postuchałem go, bo już od początku liceum miałem chęć grania muzyki rozrywkowej, bardziej niż klasycznej. Dlatego nigdy granie w filharmonii nie sprawiałoby mi takiej radości i satysfakcji, jak granie różnorodnej muzyki rozrywkowej. Orkiestrę symfoniczną zostawiam więc moim kolegom, którzy kończyli wydziały klasyczne. Staram się być muzykiem wszechstronnym, badającym różne sfery muzycznego świata i chcę ciągle próbować nowych potraw, które serwuje moja ulubiona kucharka – pani Muzyka.

Jaki kształt miałby zespół stworzony przez Ciebie?

Pociągają mnie duże składy. Jak dotąd, nie mam swojego autorskiego składu jazzowego. Zajmuję się aranżacjami na składy rozbudowane o kwartety smyczkowe, o sekcje dęte. Powstają duże zespoły 10–15 osobowe. Jeżeli miałbym założyć zespół, to właśnie chyba nie kwartet czy kwintet, ale raczej coś większego, coś ciekawego, z większą ilością barw. A ponieważ miałby to być większy skład – plany się oddalają, bo im większy zespół, tym więcej jest problemów związanych z próbami, koncertami, organizacją.

Komponujesz własne utwory?

Teraz komponuję bardzo znikomo. Ten pomysł z zespołem jest jeszcze bardzo świeży, jest jeszcze bliżej marzeń, niż realiów. Dlatego na razie komponowaniem się nie zajmuję. Trudno jest też znaleźć czas, grając z reggae'owymi składem, tu z funky'owymi, za chwilę jadąc do studia, to znowu na jakiś festiwal. To jest czasochłonne – przejazdy, próby, granie. A żeby się skupić i napisać coś dobrego i oryginalnego, też potrzeba czasu. Ostatnio poproszono mnie, żebym złożył zespół, który wykona koncert plenerowy towarzyszący wystawie finałowej „Autoportret Człuchowian”. Zorganizowałem skład osmioosobowy rozbudowany o sekcję dętą i dwie wokalistki. Zespół jest wprawdzie pod moim kierownictwem, na jeden koncert nawet przybrał nazwę mojej agencji artystycznej – „The Groovy Sound”, ale wykonuje muzykę Steviego Wondera, Blues Brothers, Glorii Estefan – hity amerykańskie lat 70. i 80. Więc tak naprawdę band, który gra covery, nie może się podawać jako autorski. Jeżeli założyłbym swój zespół, gralibyśmy kompozycje moje, czy kolegów z zespołu, w naszych aranżacjach i wtedy mógłbym się podpisać jako nie tylko kierownik muzyczny.

Życie muzyka sesyjnego jest chyba dość skomplikowane? Nielatwo jest skoordynować w czasie różne projekty współpracy.

Oj, tak, noszę stale notatnik w kieszeni (śmiech)

Jak mógłbyś opisać rolę trąbca w zespole?

Jeżeli jest to typowy skład instrumentalny, na przykład jazzowy – to zwykle trąbka jest instrumentem prowadzącym, grającym tematy, a reszta zespołu spełnia oczywiście ogromną rolę, ale bardziej akompaniującą. Natomiast jeśli trąbka jest w jakimś zespole, „przyklejona” do sekcji dętej, to jest to rola raczej drugorzędna. Sekcja dęta ma za zadanie zwykle wbijać się między frazy wokalne, robić czasami tak zwany kontrpunkt, tu akcent, tam gliss. Właściwie mogę się poszczycić instrumentem, który w muzyce dla mnie najważniejszej – w jazzie – spełnia rolę najistotniejszą.

Czy w różnych gatunkach muzycznych używa się różnych technik gry na trąbce?

Technika technika, lecz ważniejsza moim zdaniem jest stylistyka. Bardzo ważnym czynnikiem jest tzw. feeling, czyli - mówiąc prostszym językiem - czas, w jakim grana jest nuta. W jazzie

tradycyjnym gra się ostrzej, wyraźniej i dźwięki są drobniejsze, bardziej poszatkowane. Okres be-bopu – lata 50., 60. – tutaj nie ma takiej skoczności, synkopowości, dźwięki są bardziej równe, tzw. portatowe. Po tym jak kto korzysta w danym gatunku z feelingu można często odróżnić muzyka amatora od zawodowca. Grając w różnych zespołach trzeba być czujnym i dostosowywać się do danego gatunku. Podobnie w sekcji dętej: dla puzonisty, saksofonisty, trębacza wykonanie jednego dźwięku razem o identycznej długości i uderzonego w identycznym czasie jest dużym wysiłkiem, ponieważ każdy z nas musi mieć w głowie ten sam time. Szkołę grania z sekcją dętą miałem właśnie we wspomnianym wcześniej zespole „The Crackers Band”.

Trąbka jednak nie króluje u Ciebie niepodzielnie. Pozwala czasem dojść do głosu innym instrumentom. W Trio Siergieja grasz na kontrabasie, gdzie indziej na akordeonie, klawiszach, flugelhornie.

W szkole muzycznej każdy musiał „liznąć” gry na pianinie. Pracuję również jako organista, więc cały czas mam styczność z białymi i czarnymi klawiszami. Od czasów kolonii lubię pobzdąkać na gitarze, nie tylko akustycznej, ale i elektrycznej. Większość koncertów gram na trąbce, na drugim miejscu jest kontrabas, dalej cała reszta.

We wspomnianym wcześniej „składzie okolicznościowym” wokalnie zaprezentowała się Twoja żona – Małgorzata Pomorska. Również ona realizuje się w muzyce rozrywkowej. Planujecie jakieś wspólne projekty?

Moja żona, Gosia, nie ma typowego wykształcenia muzycznego, ale świetnie śpiewa i czuje się na scenie jak ryba w wodzie. Od najmłodszych lat jej tata, nauczyciel muzyki, wysyłał ją na wszelkiego rodzaju festiwale i konkursy wokalne. Uczestniczyła w programie „Idol”, udało jej się dojść do półfinału, dwa lata śpiewała w chórkach w „Formacji Niezwykłych Schabuff” oraz nagrała z nimi najnowszą płytę „24H”. Utwór „Lawką” ostatnio był najczęściej puszczanym kawałkiem w ogólnopolskich radiach, proszę sobie przypomnieć te ciepło brzmiące chórkę... (uśmiech). Owszem, planujemy wspólny projekt, będzie to nie tylko duet, ale trio. Pewnie trochę czasu minie, zanim pomysł wypali, ponieważ nasza córka Hania ma niespełna pięć miesięcy, ale jestem pewien, że za parę latków owo trio będzie muzyczną bombą w show biznesie! (śmiech).

Bardzo dziękuję za rozmowę.



Chciałem zostać pilotem

Z Siergiejem Wowkotrubem rozmawia (i fotografuje) Zbigniew Burda

Podobno chciałeś zostać pilotem. Zostałeś muzykiem. Co wpłynęło na Twoją decyzję?

Stało się to dzięki jednej pani. Była moją panią profesor, która dowiedziawszy się o moich fascynacjach i o moim hobby, zaczęła mnie rozwijać. Pożyczała mi różne książki o lotnikach i podeszła do mnie na tyle swoim postępowaniem, że było dla mnie niezręcznym być nieprzygotowanym do zajęć lekcyjnych z muzyki. W tym czasie uczestniczyłem w zajęciach kółka modelarskiego w mojej szkole i oczywiście więcej czasu spędzałem na budowaniu samolotów, niż na ćwiczeniach na instrumencie. Potoczyło się to jednak dalej tak, że robiłem coraz lepsze postępy na skrzypcach, co z kolei przyczyniło się do tego, że zdałem do liceum, bezproblemowo. W ogóle w swoim życiu miałem szczęście do dobrych nauczycieli i tylko dzięki nim nigdy nie miałem problemu na egzaminach czy to w szkole średniej, czy też na studiach. Zawsze miałem same piątki. Jeżeli jednak mówić o łączeniu skrzypiec z samolotem, to miałem w swoim życiu styczność z awiacją, lotnictwem; dużo latałem, ale co najciekawsze, w Polsce poznałem ludzi mających te same zainteresowania co ja. Latałem z nimi w naszym częstochowskim aeroklubie. Chciałem opowiedzieć historię, która przydarzyła się w czasie mojej podróży do Polski, na pierwszy kontrakt w 1992 roku. W pociągu spotkałem starszego pana, z którym zaprzyjaźniłem się pod koniec podróży, który jak się okazało był emerytowanym lotnikiem wojskowym, dowódcą eskadry. Było to tak, że gdy zobaczył u mnie futełek na skrzypce, zaczął mnie wypytywać, czy jestem muzykiem i gdzie gram. Powiedziałem, że pracuję w filharmonii, na co on odpowiedział, że całe życie chciał być muzykiem a został lotnikiem. Ze śmiechem odpowiedziałem, że u mnie było odwrotnie: ja chciałem zostać lotnikiem tak jak pan, gdyż obserwacja ziemi z powietrza sprawia mi wielką przyjemność, daje poczucie szczęścia, kiedy widzę piękno Ziemi z góry. A on posuchał, uśmiechnął się i mówi: „Wiesz co, ja też to miałem, ale tylko na początku, potem jest to już rutyna i człowiek tego nie zauważa. Natomiast pracując muzyką grającemu po całym świecie, grającemu z różnymi muzykami, różną

muzykę, tego naprawdę warto pozazdrościć”. To rozmowa, to spotkanie, tak mi została w dyszy, w pamięci, że myślę, że nie było to takie zwykłe spotkanie. Myślę, że to był jakiś znak dla mnie.

Swoje losy związałeś z Polską, z Częstochową i z częstochowską filharmonią, w której jesteś skrzypkiem. Ale przecież Ty również grasz jazz. Jak można pogodzić Mozarta z jazzem? Jest to możliwe?

Jak najbardziej. Zycuję któregoś z moich profesorów: „Człowiek jest takim stworzeniem boskim, który, jeśli naprawdę będzie chciał, pragnął czegoś, to wcześniej czy później to osiągnie”. Ja uważam, że tak jak w Polsce się mówi „dla chcącego, nic trudnego”, tak i dla muzyka grającego muzykę klasyczną, wykształconego akademicko np. tak jak ja, nic nie stoi na przeszkodzie, aby grać jazz. Trzeba tylko chcieć. Ale nie na zasadzie, że to samo spadnie z nieba, tylko tak naprawdę chcieć, czyli zmierzać w pewnym określonym kierunku i dążyć do osiągnięcia sukcesu. Tak było w moim przypadku. Jazz zacząłem grać w Polsce. Tutaj poznałem świetnych jazzmanów, częstochowian właśnie, którzy sprawili, że gram też muzykę. Widocznie gdzieś tam wcześniej, w podświadomości, liła się chęć grania jazzu. Kiedyś tam na studiach usłyszałem parę utworów granych przez wielkich mistrzów jazzu, takich jak Stephane Grappellego i ta chęć gdzieś tam kiełkowała. Gdy poznałem w Częstochowie świetnych jazzmanów, powolutku zacząłem i ja grać jazz. Obcowanie z takimi ludźmi jak np. Tadeusz E. Orgielewski, dało mi niesamowitego kopa dla większego samorozwoju. Słuchałem dużo muzyki, grałem wspólnie z różnymi jazzmanami. Mówi się, że apatyt rośnie w miarę jedzenia i tak też się stało. W pewnym okresie zorientowałem się, że chcę mieć własny zespół, że chcę grać też muzykę i zacząłem robić małutkie kroczki do przodu, co przyniosło po pewnym okresie sukcesy i nagrody na konkursach i na festiwalach jazzowych. Może to nieskromnie zabrzmiał, ale dzisiaj mogę się czymś pochwalić w tej dziedzinie.

No właśnie zespół. Stworzyłeś znakomity zespół Trio Siergieja Wowkotruba, zdobyliście przecież Złotą Tarkę na festiwalu Jazzu Tradycyjnego w Hawie w 2006 roku, nagraliście bardzo dobrą płytę Happy Time. Jakie są plany zespołu na przyszłość?

Plany takie: rozwijać się dalej, grać na różnego rodzaju festiwalach jazzowych, co i teraz robimy. W lipcu tego roku mieliśmy trasę koncertową na Mazurach. Graliśmy na Festiwalu Jazzu Tradycyjnego w Augustowie, Grudziądzu, Mrągowie, Lubawie. Wcześniej w Czchowie na Baszta Jazz Festival, a jeszcze wcześniej mieliśmy swój festiwal jazzowy, który zorganizowaliśmy razem z firmą Mały Dworek oraz Gminnym Ośrodkiem Kultury w podczęstochowskim Olsztynie. Był to 1. Międzynarodowy Festiwal Swinging Jura. Z tym festiwalem wiąże i wiążemy nadzieje, że będzie się dalej rozwijał i że będzie miał kontynuację. Oczywiście, mamy w planach grać z wybitnymi muzykami. Bo obcowanie z gwiazdami daje możliwości dalszego rozwoju. Dzięki mojemu przyjacielowi, Tadeuszowi Orgielewskiemu, poznałem i miałem szczęście grać wspólnie z jednym z najbardziej wybitnych gitarzystów naszych czasów, grającym ten gatunek jazzu co gramy my, czyli jazz cygański, z takim gitarzystą jak Joscho Stephen. To jest niemieckiego pochodzenia gitarzysta, który jest wirtuozem naszych czasów, już wiele lat wstecz przez zachodnich krytyków jazzowych został odkrytkniętym mianem współczesnego Reinharda Djanga.



Wieczór w filharmonii

Z Beatą Młynarczyk,
dyr. Filharmonii Częstochowskiej
rozmawia (i fotografuje) Zbigniew Burda

Miniony sezon artystyczny 2007–2008 w Filharmonii Częstochowskiej obfitował w znakomite koncerty, zagrane z wielkim rozmachem oraz w znanych solistów. Mam tu na myśli chociażby wokalistkę Gwendolyn Bradley z Nowego Jorku, która wystąpiła w ostatnim koncercie przed wakacjami. Pani Dyrektor, proszę zdradzić częstochowskim melomanom, co usłyszymy i kogo zobaczymy w nadchodzącym sezonie?

Zaczynamy od koncertu z udziałem Agaty Szymczewskiej, zwyciężczyni ostatniej edycji konkursu im. Henryka Wieniawskiego, która zagra koncert skrzypcowy tegoż kompozytora. Będzie to więc spotkanie z muzyką polską. Chcemy również po części cały sezon poświęcić muzyce polskiej, ze względu na przypadającą na początku 2009 roku rocznicę śmierci Mieczysława Karłowicza. Nie znaczy to, że będziemy grać tylko i wyłącznie muzykę polską. Będzie również klasyka, muzyka niemiecka, będzie Mendelssohn, bo to również i jego rocznicowy rok, będą koncerty nie tylko stricte symfoniczne dla miłośników klasyki, będą również nasze coroczne i obecne już na stałe w naszym kalendarzu propozycje z okazji Nowego Roku, Walentynek, Dnia Kobiet. Z wielkich gwiazd chcemy zaprosić na koncert grudniowy Rafała Blechacza, czekamy jeszcze na ostateczne potwierdzenie jego udziału w tym koncercie i mamy nadzieję, że uda nam się go usłyszeć po raz drugi, tym razem w koncercie z udziałem orkiestry. Chcemy zaprosić po raz kolejny Marka Pijarowskiego. To znakomity dyrygent, z którym nasza orkiestra współpracuje zawsze bardzo chętnie, a efekty tej współpracy są bardzo dobrze odbierane przez publiczność. Będzie koncert z udziałem Łukasza Borowicza. Jest to jeden z najlepszych dyrygentów młodego pokolenia. Po tym ostatnim sezonie, kiedy to nasza orkiestra wzniosła się na prawdziwie wyżyny jeśli idzie o wykonawstwo, pod batutą takich doskonałych dyrygentów, mam nadzieję, że i koncerty okażą się bardzo ciekawe. Znajdzie się również w tym sezonie miejsce dla muzyków z Częstochowy, bo promowanie naszych, a często grających na bardzo wysokim poziomie muzyków, to jest też nasze zadanie. Będzie zatem koncert Aleksandry Szejnkowskiej-Belicy w rocznicę śmierci Mieczysława Karłowicza oraz jubileusz dwudziestolecia duetu fortepianowego Sanecki-Gawroński, z podwójnym koncertem Francisca Pulenta. Taki może lepszy koncert, ale mam nadzieję, że ze względu na program, bardzo ciekawy. Będą też polscy soliści, między innymi Roman Lasocki, Ewelina Flinta i Grzegorz Turnau. Wystąpią oni podczas lutowych i marcowych koncertów.

Filharmonia Częstochowska w swoim programie nie zapomina o wiernych melomanach, ale również cyklami edukacyjnymi przybliża młodzieży postaci kompozytorów i ich dzieła. Czy i ten rok będzie obfitował w takie programy?



Tak jest. Tutaj pozostaniemy wierni naszej tradycji. Przygotowaliśmy znowu sześć koncertów z cyklu „Szkoła na Parmasie” oraz cały cykl koncertów „Filharmonia dzieciom”. Szkołę na Parmasie zaczniemy koncertem poświęconym wątkom narodowym w muzyce romantyzmu. Koncert listopadowy, jak zawsze, poświęcony muzyce polskiej, tym razem nie kameralny ale z udziałem dużej orkiestry. W grudniu Kwartet Jorgi w programie poświęconym muzyce bożonarodzeniowej, ale nie tylko. Będzie to koncert w duchu etnicznym. Kolejna edycja naszych szkolniaków, w styczniu, poświęcona będzie postaci Josepha Haydna, ojca klasycznej symfonii. Opowiemy o twórczości tego kompozytora i jego ciekawym ale mało znanym życiu. Wreszcie, w marcu koncert z udziałem dwójki niezwykle wspaniałych muzyków i solistów grających na szklanej harfie. To taki poetycki koncert, nie tylko będzie brzmiało poetycko, ale będzie też i dużo poezji. Wreszcie, w maju, jak zwykle podsumowanie tego, mam nadzieję, że i tym razem udanego cyklu.

Pozostali nam najmłodszy melomani, jak się okazuje, czasami bardzo dojrzały. Co usłyszą podczas swoich niedzielnych pranków?

W tym sezonie po raz kolejny zapraszamy na poranki symfoniczne. Generalnie, będzie to cykl poświęcony baśniom, bardzo różnie opowiadanym, gramym, tańczonym. Myślę, że będzie to ciekawe, nawet ze względu na barwność tych małych spektakli. Warto więc przychodzić z dziećmi na te koncerty. My je organizujemy z myślą o tym, że wrażliwość człowieka na muzykę poważną kształtuje się mniej więcej do 8–9 roku życia. Nie można więc tego czasu przegapić. Warto z dzieckiem przyjść, nawet jeśli to dziecko podczas koncertu na dłuższą czy krótszą chwilę, częściowo wyłączy się ze słuchania. Ale zapamięta i ten rodzaj brzmienia muzyki, i ten rodzaj zespołu na scenie. Zapamięta również tę atmosferę, do której - miejmy nadzieję - będzie wracać.

Dwoje ludzi z aparatem pośrodku

Z Adamem Markowskim, grafikiem i fotografem, autorem portretów młodych częstochowskich artystów, które składają się na wystawę „Akrobaci”, rozmawia Janusz Mielczarek

Z satysfakcją obejrzałem wystawę Twoich fotografii eksponowaną w czasie wakacji w ArtRestaurant Stacherczak. Te zdjęcia, ciekawe opowieści o portretowanych, wiele mówią także o Tobie. Dlaczego portrety?

Wiem, że portret to trudna dziedzina fotografii. Zmierzałem do niej okrężną drogą i z całą należną temu pokorą. Pierwsze aparaty fotograficzne odziedziczyłem po dziadku i wujku. Ciemnię fotograficzną zorganizowałem sobie na początku studiów w piwnicy bloku na Północy, gdzie mieszałem z rodzicami. Wówczas fotografowałem głównie architekturę odchodzącej i zmieniającej się Częstochowy, zaułki, podwórka przedmieść. Wiele z tych fotografii wykorzystywałem później przy pracach z grafiką warsztatowej już w trakcie studiów. Pracowałem w tygodniku „Niedziela”, gdzie robiłem zdjęcia ilustracyjne. Kolejnym dla mnie wyzwaniem była współpraca z „Gazetą Wyborczą”. Tam akcenty przenosiły się bardziej w kierunku tropienia sylwetki ludzkiej, jej reakcji na wydarzenia wokół, a także twarzy. Robiłem również zdjęcia na koncertach. Przełom w moim fotografowaniu zmierzającym ku portretowi nastąpił w roku 2005, kiedy w Utopii zrobiłem zdjęcia podczas koncertu zespołu Negatyw. Za jakiś czas odezwał się jego solista przygotowujący projekt muzyczny „Penny Lane”. Zapropozował mi zrobienie fotografii. Trauma była okrutna, ale zdjęcia robione w Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach podobały się. To mnie podbudowało.

Pochodzisz z rodziny o wielopokoleniowych tradycjach artystycznych. Jak to odczuwasz jako twórca i dyskutujesz w tym, co robisz?

Jestem po prostu wdzięczny losowi. Bez tej tradycji byłoby mi jeszcze daleko do miejsca, w którym jestem dzisiaj. Jako dziecko uwielbiałem przyglądać się godzinami, jak malował mój dziadek. Tam też, w ogrodzie domu na Zawodziu, podziwiałem jego niemal „czarodziejskie moce”. Potrafił w ciągu kilkunastu minut z kawałków blaszek powycinanych z puszek zrobić mi pięknego dwupłatowca, który zjeżdżał po błyskawicznie skonstruowanej pochylni. Malarstwo taty miałem na co dzień, ale przy budowaniu się mojego fotograficznego widzenia świata ogromną rolę odegrały zdjęcia zamieszczone w autorskich albumach mojego wuja – Stanisława Markowskiego.



Fot. Janusz Mielczarek

Pokazywały one zarówno piękno architektury i pejzażu, jak też sytuacje ze stanu wojennego, mówiły o Żydach i wielu innych problemach. Wertowanie ich po wielokroć, analizowanie, to była za każdym razem również lekcja pokory: jak wiele mi brakuje do tego, co pragnę robić. Tak więc moje artystyczne tradycje rodzinne, poza tym że stanowią porcję cennych doświadczeń, są także zobowiązujące. Nie chciałbym być tym, który strąca poprzeczkę.

Wracając do portretów: bardzo cenię w nich Twoją pracę poprzedzającą samo fotografowanie. Dlatego każda z portretowanych osób funkcjonuje w odrębnym, stworzonym przez Ciebie klimacie. To nie jest tylko geometria zaświeconej kartki papieru, to są zróżnicowane przestrzenie, konteksty i metafory.

Należę do tych, którzy spotkanie dwojga ludzi z aparatem pośrodku traktują bardzo serio, z towarzyszącą temu treścią i porcją emocji. Dlatego, nim to nastąpi, potrzebne jest jedno lub więcej spotkań, aby wiele rzeczy ustalić. Omawiamy pomysły, miejsce, gdzie będziemy to robić, rekwiizyty i inne szczegóły; wówczas w czasie fotografowania unika się zaskoczeń i jest ono dla obu stron fajną przygodą. Pokazany na wystawie cykl portretów rozpocząłem we wrześniu 2007 roku, a skończyłem w czerwcu

b.r. Zacząłem go od zdjęć Piotra Chrząstka, muzyka, kolegi z bloku. Na początku tworzenia „Akrobatów” robiłem więcej ujęć, potem szło już bardziej z górką i mniej się stresowałem. Przeważnie z moimi modelami odbywałem po dwa spotkania. Czasowo samo fotografowanie też przebiegało różnie. Najkrócej, bo niespełna pół godziny, robiłem zdjęcia Maćka Nabrdalika. Tylko dziesięć ujęć. Z innymi osobami ujęć było więcej, do trzydziestu, ale nigdy nie były to serie, którymi rządzi przypadek.

Czym fotografujesz i jakie pomysły Cię kręcą?

Sądzę, że na dłużej „wsiaknięłem” w portret, choć mam też dwa, trzy pomysły na swój reportaż. Fotografuję cyfrowymi Canonami 20 D i 30 D z jasną optyką, choć marzą mi się jeszcze dobre „szkiełka”. Staram się minimalnie ingerować w obraz poprzez program komputerowy. Być może wynika to z mo-

jego szacunku dla czarno-białej fotografii i braku fascynacji efektami specjalnymi, które niechaj sobie pozostaną domeną mediów. Moim studio jest plener. Czuję się w nim bardzo dobrze, bez względu na niespodzianki, jakie mogą się zdarzyć.

Czy młodzi częstochowscy twórcy są dlatego portretowani w „Akrobatach”, że jesteś dwukrotnym stypendystą Prezydenta Częstochowy?

Nie. Jest to część bliskiego memu sercu środowiska kulturalnego rodzinnego miasta. Wierzę, że ich działania wybiegają będą poza Częstochowę. Po części tak się już dzieje. Chciałbym sprawić sobie aparat analogowy średnioformatowy 6x6. W cyfrowej fotografii są jeszcze miejsca, które bromo-srebrowej, tradycyjnej, nie mogą dorównać.

Dziękuję za rozmowę



Paulina Domagalska



Anna Biernacka



Piotr „Dziker” Chrząstek



Teresa Dzielska

Dwaj muszkietierowie

Marian Panek

Kamil Kuskowski i Tomasz Musiał zaprezentowali w Konduktorowni częstochowskiej Zachęty na przełomie sierpnia i września 2008 r. wspólną wystawę malarstwa pt. „Z górnej półki”. Prezentacja ta dwu artystów związanych z Częstochową (są kolegami oraz absolwentami częstochowskiego Plastyka), obecnie nauczycieli akademickich na Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi, pokazała dwie odmienne postawy twórców już w pełni ukształtowanych, dojrzałych i niepozabawionych sukcesów na międzynarodowych czy krajowych konkursach sztuki.

Kamil Kuskowski zaprezentował swoją „Bibliotekę”, czyli bardzo wydłużone, pionowe formaty płócien – są to prawie trzymetrowe grzbiety książek, dzieł, które dla malarza są znaczące i wpłynęły zapewne na jego rozwój artystyczny. Obrazy trochę w konwencji minimal artu o konceptualnym zamyśle. Można powiedzieć, że to „dzieło o dziełach” – estetyczne i liternicze grzbiety opraw książkowych stanowią w zwartym rytmicznym szyku zarys pewnej instalacji malarskiej. Trzeba przypuszczać, że gdyby tych literniczych obrazów-haseł było dwa razy więcej, to ekspozycja Kuskowskiego stałaby się mocniejsza, bardziej wyrazista i przekonująca, że mamy tu do czynienia z wcześniej założoną malarską instalacją. Prowadzenie intelektualnej gry z konceptualnym źródłem, iż dzieło jest i powinno być opisem dzieła i mieć tautologiczną inspirację, już w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku zaznaczył swoimi wypowiedziami o sztuce prekursor sztuki konceptualnej Joseph Kosuth. Kuskowski nie jest jednak epigonem tamtego kierunku, gdyż odwołuje się do przestrzeni dzieła literackiego i wszelkich innych implikacji związanych z nim przez

przywołanie pewnego zestawu dzieł literackich, sobie tylko właściwego i osobistego, tworząc w ten sposób swoją bibliotekę.

Natomiast Tomasz Musiał pokazał swoje podwójne portrety. Zestawione ze sobą wyobrażenia portretowe dwu różnych postaci czy idei postaci, np. znanego i cenionego w świecie polskiego artysty Romana Opalki z bohaterem filmowego „Matriksa” braci Wachowskich – Neo. Jeden wlicza swoje liczone obrazy, drugi powstał wirtualnej, cyfrowej, zerojedynkowej przestrzeni „nowego świata”. Inną parę tworzą Mariusz Pudzianowski, mistrz świata siłaczy, najsilniejszy człowiek na Ziemi, i Cezary Bodzianowski, artysta performer o specyficznym poczuciu humoru, wielki prześmiewca rzeczywistości. Musiał zestawiał też Marinę Abramović, artystkę z bogatą przeszłością, autorkę wielu mistyfikacji i drastycznych przedstawień w polu sztuki, łącząc ją z rosyjskim multimiliarderem, człowiekiem finansowego sukcesu, Romanem Abramowiczem. Pole gry logicznych i alogicznych porównań czy portretowych zbliżeń Tomasz Musiał poszerza też o pojęcia o „amerykański sen” i „rosyjską ruletkę”, próbując tu popartowskim znakiem podobizny Andy Warhola i rozerwanym kulą sercem spojrzeć na paradoksalność oraz przewrotność i losowość rzeczywistości z jej okrutnymi atrybutami.

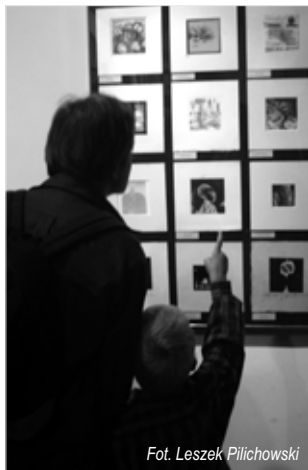
Obie artystyczne postawy, wyrafinowane intelektualnie, zarówno Kuskowskiego, jak i Musiał, cechuje pewne szablonowe podejście do materii malarskiej, liternicze treści, drabnicowość, umiejętność przeprowadzenia osobistej malarskiej myśli na temat siebie i otaczającej ich rzeczywistości.



Fot. Leszek Piłchowski

Truchcikiem po galeriach

W Galerii Ośrodka Promocji Kultury Gaude Mater odbyła się już piąta edycja Międzynarodowego Biennale Miniatury, na którą nadesłano ogółem 1274 prace 438 autorów z 44 krajów. Komisja konkursowa, której przewodniczył prof. Adam Brinczen z Krakowa, postanowiła zakwalifikować do wystawy 245 prac, 148 autorów i przyznać 4 nagrody regulaminowe oraz 5 wyróżnień honorowych. Grand Prix konkursu, fundowane przez Prezydenta Miasta Częstochowy, przyznano Magdalenie Szczesniak (Kraków) za pracę „Kieszonkowy portret trumienny II”, za I Nagrodą dla Agnieszki Sitko (Mikolów) jury zgłosiło na zestaw trzech prac „O kobiecie”. II Nagrodę przyznano Anne Rossi (Seinäjoki, Finlandia) a III – Catherine M. Stewart (Vancouver, Kanada). Wyróżnienia honorowe otrzymali Ivan Ninov (Sofia, Bułgaria), Krystyna Matusiak (Łódź), Hyun-Jin Kim (Taoyuan City, Tajwan), Kouki Tsuritani (Toyama, Japonia), Andrzej Gieraga (Łódź). Poziom wystawy z edycji na edycję wzrasta, jest to nie tylko moja opinia. Przygotowane starannie ekspozycje i doskonałe jakościowo katalogi może być wzorem dla innych częstochowskich galerii. Trzeba więc pogratulować kuratorowi Galerii, Robertowi Sękiewiczowi, jak również komisarzowi wystawy, Bartoszowi Frączkowi, za wzorowe przygotowanie Międzynarodowego Biennale Miniatury.



Fot. Leszek Pilichowski

Wystawa „Ślady - dotyk czasu”, której pomysłodawcą scenariusza i autorem aranżacji jest Barbara Major, pracownik merytoryczny Miejskiej Galerii Sztuki, została pokazana w Częstochowie po wcześniejszej prezentacji

w Galerii w Meersburgu w okręgu bodeńskim. Prezentacja zawiera w sobie wiele cennych dzieł wybitnych autorów, a kluczem do ich tematycznego skompletowania jest czas, jego przeżywanie i przemijanie oraz zapis tego przemijania. To, co zgromadziła na wystawie autorka, ma wiele niestety mielizn w sensie również artystycznym. Filozoficzny wydzźwięk tej wystawy w heraklityjskim sensie, że „wszystko płynie i nic nie stoi w miejscu”, bronią przede wszystkim prace Jacka Waltosia, Leszka Sobockiego, Rafała Borcza oraz Wojciecha Prazmolińskiego. Warto było zobaczyć również autoportrety Jacka Sempolińskiego w częstochowskiej MGS.

W Miejskiej Galerii Sztuki Katarzyna Pełka na antresoli w tak zwanej „prześciółce” zaprezentowała „Wzorowy dizajn”, tak właśnie zatytułowała swoją wystawę młoda projektantka rodem z Częstochowy. Projektowanie ma zawsze aspekt „rzutowania” praktycznego na nasze zmysły. Ergonomia przekonuje, ale zmysły wędrują niezależnie nawet od codziennych przyzwyczajeń w kierunku nie sztuczności, ale organiczności. Piękno projektów Katarzyny Pełki „rzutuje” w tym kierunku. Pani Katarzyno, proszę bardziej zmysłowo, mniej sztywno, a wszystko będzie cacy.

Jan Siuta z Krakowa pokazał w Konduktorowni Zachęty szereg organicznych obrazów tworzących, przez bliskie, płaszczyzna do płaszczyzny, krawędź do krawędzi, zestawianie, olbrzymie, zintegrowane wewnętrznym układem poszczególnych otwartych kompozycji dwa przedstawienia o cechach zarówno malarstwa dekoracyjnego, jak i architektonicznego. Te dwa wielkie malarskie paneaux, jedno o skontrastowanej kolorystyce przełamanych fioletów, błękitów, ugrów, oranży i żółcieni, a drugie monochromatyczne, o różnorodnych dominantach zieleni, stanowiły lewą i prawą stronę dla gigantycznej „Krakowianki”, rzeźby zrealizowanej z porzewiałej blachy, przedstawiającej postać tańczącej kobiety. Wystawa warta zobaczenia, zwłaszcza w kontekście rozmyślań o potrzebie malarstwa w architekturze.

Również w Konduktorowni Bartosz Głowacki, młody fotografik z Krakowa, przedstawił ponad dwadzieścia fotografów o formacie 30x20 cm. Zdjęcia te, technicznie dobrze opracowane i zakomponowane, dotykają generalnie problemów odbić, podważania, zwielokrotniania i deformacji pierwotnego właściwego obrazu. Pomysłowe i wypracowane kompozycje fotograficzne pokazują dalsze możliwości zatrzymanego w kadrze ruchomego piękna natury rzeczywistości jako nośnika dla estetycznych i duchowych przeżyć. Autorowi gratuluję mądrzej i dobrze przygotowanej wystawy.

W MGS Cecylia Szerszeń zaprezentowała „nietopograficzne”, jak sama przyznała w swojej wernisażowej wypowiedzi, malarstwo pejzażowe. Autorka znakomitych „landshaftów” nie kryła swojego zachwytu nad pięknem natury ujętym w czasie dokonany na różnego rodzaju podłożach



Fot. Leszek Piłichowski

malarskich, które zręcznie bądź niezręcznie oprawione, epatowały licznymi zgromadzoną publicznością. Wystawa zaaranżowana bez pomysłu, alogicznie, bez klucza, była jednak towarzyskim wydarzeniem. I tak – również o to chodzi, by wśród dwustu obrazów zobaczyć trzy, może cztery wspaniałe, na miarę Stanisławskiego, cudowne odkrycia wielkiej pejzażowej sztuki artystki, której pasja tworzenia znalazła uznanie u wielu kolekcjonerów jej malarskiego talentu.

Malarstwo Tadeusza Paszki pokazane na indywidualnej wystawie w Miejskiej Galerii Sztuki wyróżnia się swoją nadekspresjonistyczną celową prostotą, mającą za zadanie w sposób dydaktyczny przekazać tragizm ludzkiego losu. Ludzie w jego prymitywizowanych scenach z życia są grzeszni, tragiczni, starzy, wzbudzający litość bądź obrzydzenie. Ten wytrawny, dążący do efektów malarstwa naiwnego, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, artysta świadomie teatralizuje swoje kompozycje, poszukując dramatycznego, wymownego gestu czy ruchu postaci ludzkiej –



Fot. Leszek Piłichowski

– zarówno zatrzymanej, jak i dynamicznie u r u c h o m i o n e j w swoim wyobrażeniu malarskim. Pewne schematy w przedstawianiu partitur ruchowych nawiązują nie tylko do dziewiętnastego i dwudziestowiecznych ekspresjonistów, ale również do malarstwa religijnego Boscha czy Lucasa Cranacha. Tytuł wystawy „Święci pańscy” w sposób przewrotny odwołuje się do boskiej kondycji człowieka.

Marian Panek

Ad memoriam...

Szymon Wypych (1945-2008)

29 sierpnia 2008 roku odszedł w wieku zaledwie 63 lat artysta rzeźbiarz Szymon Wypych. Wielomiesięczna choroba wykluczyła Go już wcześniej z aktywnego artystycznego życia. Był znanym i cenionym rzeźbiarzem, który obok rzeźb memorialnych, medali, płaskorzeźb portretowych, plakiet i kameralnych ceramicznych przedstawień, wpisał się w krajobraz miasta wieloma pracami plenerowymi (m.in. posagiem Jana Pawła II w archikatedrze, popiersiem Władysława Biegańskiego na pl. Rady Europy, posagiem Haliny Poświatowskiej w muzeum poetki w PSP nr 8, Pomnikiem Ofiar Hitleryzmu w Kłobucku, rzeźbą „Przyjaciółki” w dzielnicy Tysiąclecia), a nieśmiertelność zapewnił sobie realizacją Drogi Krzyżowej przy Sanktuarium św. o. Pio na Przeprośnej Górcie k/ Częstochowy. W planach miał jeszcze Drogę Różańcową...

Absolwent Wydziału Rzeźby Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku, zaraz po studiach w 1979 roku został członkiem ZPAP. Od 1983 roku należał do Związku Artystów Rzeźbiarzy i Stowarzyszenia Srodowisk Twórczych, w międzyczasie został rzeczoznawcą Ministerstwa Kultury i Sztuki, do którego zadań należała ocena dzieł sztuki współczesnej w zakresie rzeźby. Był też inicjatorem i organizatorem ogólnopolskich, i wojewódzkich plenerów plastycznych dla metodyków i nauczycieli plastyki oraz członków SŚT.

W trzydziestoletnim dorobku artystycznym otrzymał ponad 20 nagród i wyróżnień, był również laureatem Nagrody Prezydenta Częstochowy w dziedzinie twórczości plastycznej w 2000 roku. Sam o sobie pisał: „Człowiek, jego stany duchowe, wzajemne relacje i zależności między ludźmi, oraz ich związki z najbliższym otoczeniem, z naturą – to tematy wiodące w mojej 30-letniej twórczości. Zdecydowanie najwięcej czasu przeznaczyłem tzw. rzeźbom plenerowym. Takim, które mogą zaistnieć w krajobrazie jako rzeźby niepomnikowe i aby przechodzień mógł w ich sąsiedztwie usiąść i pokontemplować. Staram się nadać swoim rzeźbom taką formę, aby wyrażały nastroj skupienia, zadumy, intymności. Człowiek chętnie ulega tym nastrojom, a one inspirują mnie najbardziej.”



Prace Szymona Wypycha można oglądać m.in. w galerii ZAR w Warszawie, Galerii Rzeźby Śląskiej w Chorzowie, Towarzystwie Sztuk Pięknych w Krakowie, a także – do końca roku – w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie.

J. Grochowska

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

Aleksander Jaśkiewicz
Muzeum Częstochowskie

Kościół św. Józefa Rzemieślnika

Osada Raków początkami swymi sięga XVIII w. Dość długo jednak był to teren słabo zaludniony. Od 1791 r. należał do Stanisława Jeziorokowskiego, komorniczego ziemskiego krakowskiego. Wówczas było tam 9 domów, w których mieszkało 55 osób. Później powstał majątek ziemski Błęszyńskich. W latach 1763-1782 była to parafia Poczesna, a od roku 1790 – Częstochowa.

Wyraźny rozwój Rakowa datuje się od drugiej połowy XIX w., kiedy w 1867 r. powstała tam fabryka wyrobów metalowych Bernarda Hantkego, a w 1896 r. uruchomiono hutę.

W 1904 r. mieszkańcy Rakowa wzniesli pierwszą małą kapliczkę drewnianą, którą w latach 1905-1907 powiększono staraniem ks. Bolesława Osadnika i utworzono przy niej osobną placówkę duszpasterską (kapelanię), zależną od proboszcza parafii św. Zygmunta. Parafię samodzielną erygował biskup włocławski Stanisław Zdzitowiecki w 1910 r., po czym przygotowano się do budowy nowego kościoła. W realizacji tego zamierze-

nia przeszkodził wybuch pierwszej wojny światowej. Dopiero po dłuższej przerwie, w 1925 r. powołano Komitet budowy kościoła, a w następnym roku rozpoczęto kopanie fundamentów. Dzieło budowy nowej świątyni powierzono dwom znanym architektom, Stefanowi Szyllerowi (1857-1933) i Wiesławowi Konowiczowi.

W stanie surowym kościół poświęcił biskup częstochowski Teodor Kubina w roku 1929 - pod wezwaniem Opieki św. Józefa. Odtąd świątynię udostępniono wiernym, a dawną kaplicę rozebrano. Prace wykończeniowe nowego kościoła trwały jednak jeszcze dość długo. Prowadził je ks. Władysław Pająk, a po nim ks. Franciszek Rapala. Z biegiem lat okazało się jednak konieczne naprawienie pękających murów wzniesionych z cegły szamotowej, równocześnie podjęto budowę frontonu kościoła, ukończono szczyt (małej) wieży i wzniesiono nową plebanię.

Konsekracji kościoła pod wezwaniem św. Józefa Rzemieślnika dokonał biskup częstochowski Zdzisław Goliński w dniach 12 i 13 maja 1962 r.

Świątynia jest okazałą trójnawową budowlą typu halowego (wszystkie trzy nawy równej wysokości) z transeptem i trójbocznie zamkniętym prezbiterium. Od frontu ma dwie wieże, cofnięte względem partii środkowej lekko do tyłu. Jedna z nich jest czworoboczna, nakryta płaskim dachem, druga osmioboczna



Fot. Zbigniew Burda

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

i ma pseudobarokowy hełm. Podobne szczyty wieńcza ramiona transeptu. Ściany, opięte szkarpami, urozmaica w dolnych partiach wątek kamiennego muru.

Od strony północno-zachodniej prezbiterium wznosi się malownicza w swej formie wieloboczna bryła kaplicy, nakryta kopułą. Dodatkowym elementem urozmaicenia tej części świątyni jest cylindryczna wieżyczka; podobna znajduje się po przeciwległej stronie prezbiterium.

Swoistym dopełnieniem wielorakości stylowej kościoła jest zakrystia po wschodniej stronie prezbiterium, dobudowana w 1938 r. Jej ściany zamyka od góry mur pseudoattyki.

We wnętrzu, nakrytym sklepieniami kolebkowo-krzyżowymi, zwraca uwagę system smukłych filarów i rozpiętych na nich półkolistych łuków akcentujących podział całej przestrzeni na trzy nawy, transept i prezbiterium.

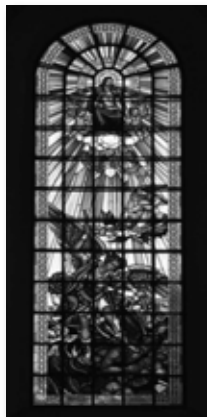
Wśród elementów wyposażenia wnętrza wyróżnia się neobarokowa ambona i także chrzcielnica, obydwie wykonane według projektu Stefana Szyllera w 1953 r.

Wystarczy tylko bardzo ogólne przyjrzenie się naszej świątyni, by dostrzec, że jest to bardzo typowy

przykład architektury późnego historyzmu. W charakterystyczny sposób łączy on formy kilku stylów: romaniki (jedna z wież), gotyku (trójbocznie zamknięte prezbiterium), renesansu (ściany zakrystii) i baroku (szczyty). Autorzy projektu chcieli w ten sposób pokazać to, co stanowi tak szczególną cechę dawnej architektury polskiej, jej wielostylowość. W minionych stuleciach, wraz z pojawianiem się nowych założeń estetycznych, dawnych gotyckich czy barokowych świątyni, zamków i dworów nie rozbierano, by zastąpić je nowymi realizacjami, lecz powiększano, częściowo przekształcano i rozbudowywano, dostosowując je w odpowiedni sposób do aktualnych potrzeb. Dzięki temu dziś mają one swoistą, bardzo polską wymowę, tchną jedyną, niepowtarzalną atmosferą i pięknem. Ta różnorodność w niczym nie umniejsza ich wartości, a wręcz wzbogaca. W Często-



Fotografie: Zbigniew Burda



ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

chowcie przykładem tego jest po części kościół św. Zygmunta, a nade wszystko Jasna Góra, gdzie reprezentowane są wszystkie style, od gotyku począwszy.

Stefan Szyller, który w tytule swej książki postawił pytanie „Czy mamy polską architekturę?” (1916), bardzo konsekwentnie i do końca realizował przyjęty przez siebie program. Pracując w latach 1891-1917 dla Jasnej Góry, gdzie podjął szereg większych i mniejszych zadań (m.in. niezrealizowany projekt przebudowy krużganka przed kaplicą Matki Boskiej, attyka aneksu przywieżowego, tarasy przed Szczytem kaplicy Matki Boskiej), odwoływał się zwłaszcza do form polskiej architektury renesansowej. Włączył się również w dzieło ratowania najstarszych zabytków polskich. Prowadził m.in. restaurację katedry w Płocku oraz kościoła i klasztoru w Czerwińsku.

Aleksander Jaśkiewicz

Literatura:

1. *Katalog zabytków sztuki w Polsce, t. VI, cz. 1. Miasto Częstochowa, cz.1, Stare i Nowe Miasto, Częstochówka i przedmieścia, oprac. Zofia Rozanow i Ewa Smulikowska, Warszawa 1995, s. 23-24.*
2. *Katalog Kościołów i Duchowieństwa Diecezji Częstochowskiej, Częstochowa 1968, s. 35, 56*
3. *Mała encyklopedia Częstochowy, Częstochowa 2002, s. 147.*



ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

Czerwony Raków. Dobrze się tu czuje święty Józef, patron robotników, jest tu na swoim miejscu. Podobnie kościół pod jego wezwaniem. Eklektyczna forma nie jest przypadkowym zlepkiem stylów, ale architektoniczną fantazją złożoną z różnych elementów, pięknie się komponującą z krajobrazem. Ciepła czerwień dachówek, szmaragdowa zieleń miedzianych kopuł harmonijnie dźwięczą wśród drzew i kwiatów ogródków działkowych. Malownicza budowla urozmaica monotonię bloków z wielkiej płyty, a starym domom na starych uliczkach dodaje szlachetności.

Ślady historii częstochowskiego przemysłu, ślady pracy pokoleń, inicjatywy, fizycznego wysiłku i walki są obecne w całej atmosferze dzielnicy. Życie robotników i fabrykantów przechowuje się w pięknie dawnej architektury: świeci przywróconym blaskiem odrestaurowany pałacyk Hantkego, pulsują ciemną czerwienią zaniedbane i ciągle niedoceniane stare ceglane budynki robotnicze. Ich oryginalnemu pięknu zagrozić dziś może nie tylko czas, ale i styropian, używany do termoizolacji, a przesłaniający autentyczne dawne, ze smakiem zdobione elewacje.

Nowszą historię lakonicznie przypomina tablica na kościele: tu spotkali się działacze podziemnej „Solidarności” wraz ze swym kapłanem. O księdzu Zenonie Raczyńskim pisałem już wcześniej, przy okazji opowiadania o kościele Świętego Krzyża. Nie miałem okazji uczestniczyć w mszach za ojczyznę przez niego odprawianych, ale mogę je sobie wyobrazić, pamiętając doskonale księdza, jego twarz, szczupłą postać

w czarnej sutannie, jego energię, mądrość wypowiedzi, jasność wyrażania myśli, bezpośredni sposób bycia w czasach świętokrzyskich. Mogę sobie też wyobrazić, ile odwagi i rozważli, poświęcenia i determinacji, opanowania i dobrego rozeznania wymagała jego praca u św. Józefa jako kapelana Solidarności.

Przeszły lata i kościół św. Józefa wzbogacił zasięg swojego oddziaływania o środowiska artystyczne. Właśnie tę świątynię uczynił ks. Grzegorz Ułamek, duszpasterz środowisk twórczych, człowiek o ogromnym potencjale pomysłów i umiejętności bycia z artystami, miejscem przedsięwzięcia, które spotkało się z nadzwyczajnym przyjęciem wśród młodych i starszych, zwłaszcza identyfikujących się z tymi środowiskami. To Zaduszki artystyczne w wieczór Dnia Zadusznego, wypemione współczesną muzyką, dzięki Marcinowi Pospieszalskiemu ukazujące, jak wiele dobrego się w tej dziedzinie w Częstochowie dzieje. Litania wypominków, msza z krótkim treściwym kazaniem (najlepiej w tej formule sprawdza się biskup Długosz) – i dłuższy dynamiczny koncert. To dzieło z pewnością warte jest kontynuowania, doskonalenia i upowszechniania, choć jego inicjatora w sposób tak nieoczekiwany i wstrząsający zabrakło, a pierwsze fascynacje minęły. W plebańskim ogrodzie u św. Józefa, wśród starych drzew owocowych, spotkali się też artyści przy ognisku w dniu swego Patrona, Łukasza Ewangelisty. Planowali częściej tak się spotykać.

W ogrodzie jednego z domów przy ulicy Bolesława Limanowskiego, blisko skrzyżowania z ulicą Stefana Okrzei, pośród białych kwiatów hibiskusa i wielobarwnych róż widać groty z Lourdes, całą porośniętą zimozielonym bluszczem, z gipsową figurą Matki Bożej



ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

w błękitnym płaszczu. Niedaleko, w innym ogródku inna figura. Serca Pana Jezusa. Proboszcz, ks. prałat dr Bronisław Preder, prosił kiedyś parafian mających posesje przy niektórych ulicach parafii, by użyczyli miejsca pod figury i kapliczki. Bardzo dobra inicjatywa, mogłaby stworzyć szansę wzbogacenia ulic nie tylko w znaki religijne seryjnej produkcji, ale równocześnie w dzieła sztuki i artystycznego rękodzieła. Pobrzmiwia tu, w skromniejszej formie, echo idei tworzenia alei rzeźb biblijnych postaci, wyrażanej wcześniej przez ks. Predera jako proboszcza katedralnego.

Trudno z okrucichów wrażeń zebrać obraz człowieka, jego dotychczasowych działań, a tym bardziej osobowości. Lecz taka właśnie, bardzo subiektywna, jest formuła tych prezentacji. A więc - miłe wrazenie z wymiany paru słów raz i drugi. Jakis zasłyszany wykład w Radiu Fiat na tematy żydowskie, którego treść nazbyt mi się, niestety, kojarzyła z niektórymi wypowiedziami w innym znanym radiu.

A później zaproszenia wygłaszane również w Radiu Fiat, związane z działaniem Wspólnoty Odnowy w Duchu Świętym „Siloe” (modlitwa o uzdrowienie, seminarium Odnowy). I widok całkiem przypadkowy: któregoś powszedniego przedpołudnia w pustym kościele, w kaplicy adoracji Najświętszego Sakramentu - proboszcz na modlitwie. I to wreszcie, co się rzuca w oczy: zamiłowanie proboszcza do kształtowania sakralnej przestrzeni wizualnej, z jej wszystkimi elementami, obfitość pomysłów w tej dziedzinie, fascynacja bizantyzmem i barokiem, tęsknota do przepychu wnętrza jako obrazu nieba.

Abym powiedział coś więcej o efektach prac w sanktuarium św. Józefa trzeba poczekać na ich zakończenie. A są one zakrojone na dużą skalę: obrazy, rzeźby, bogate

złocenia, witraże. Solidnie, dobrze namalowani Pańscy święci, także ci XX-wieczni, pod ozdobnym baldachami, obok starych obrazów i kopii oraz gipsowych figur. To we wnętrzu. A w otoczeniu kościoła - obrazy według szczególnego programu teologiczno-historiozoficznego, w nowych krążankach, niepotrzebnie usiłujących konkurować z malowniczą architekturą samego kościoła i zakłócających jej odbiór; fontanny z małymi figurkami Jana Pawła II, kardynała Wyszyńskiego, księdza Popiełuszki (żeby chociaż woda już się lała!). I dzwonnica wzorowana na krzywej wieży w Pizie, co można by rozpatrywać w kategoriach postmodernistycznych cytatów albo zakwalifikować raczej do kategorii osobliwości.

Wypada uzupełnić to przedstawienie kilku informacjami. Na stronie internetowej sanktuarium św. Józefa podano, iż pierwsza kapliczka powstała tu z inicjatywy Rity Mierzwińskiej w 1904 r., następnie, z środków huty Bernarda Hantke postawiono kaplicę większą, a budowniczy nazywał się Derlinger. Powstały wkrótce potem Komitet Budowy Kościoła przewodnictwem ks. Lucjana Nawrockiego podejmował starania o utworzenie na Rakowie oddzielnej parafii. Parafia św. Józefa została ustanowiona w 1910 r. przez biskupa włocławskiego Stanisława Zdzitowieckiego, a w 1913 r. zakupiono grunty pod przyszłą świątynię. Kościół parafialny był budowany staraniem drugiego proboszcza, ks. Stefana Niedźwieckiego w latach 1925-33, według projektu architektów Szyllera i Konowicza. Urządzaniem wnętrza zajmowali się kolejni proboszczowie, księży Klemens Gawlikowski, Władysław Pająk, Franciszek Rapała. W roku 1990, za ks. Raczynskiego, utworzona została w parafii stolówka dla potrzebujących.

Od 2000 r. trwa w specjalnie urządzonej kaplicy wieczysta adoracja Najświętszego Sakramentu. Codziennie rano, w południe i wieczorem odmawiany jest też różaniec. 19 listopada 2002 r. arcybiskup Stanisław Nowak podniósł kościół do godności sanktuarium i poświęcił retabulum z wizerunkiem św. Józefa, czczonym przez wieki na ziemi wielunińskiej.

Parafia obejmuje opieką pastoralną działające na jej terenie przedszkola, Szkołę Podstawową nr 20, Liceum Ogólnokształcące im. Jarosława Dąbrowskiego, Zespół Szkół Elektroniczno- Mechanicznych im. Bolesława Prusa. W budynku parafialnym działa szkoła podstawowa i gimnazjum. W parafii pracują siostry felcjanek. Z parafii pochodzi kilkunastu księży. Kościół św. Józefa jest też miejscem oddziaływania o charakterze ponadparafialnym - miejskim, diecezjalnym, ogólnopolskim (pielgrzymki modlitewno-pokutne, dni skupienia Pomocników Maryi, Matki Kościoła, Ruchu Światło-Życie, Domowego Kościoła, spotkania artystów i rzemieślników). W parafii pracuje dekanalny ojciec duchowny kapłan, ks. kan. Stanisław Kończyk. Mieszka też tu ks. dr Jarosław Grabowski, wykładowca teologii ekumenicznej w Wyższym Seminarium Duchownym, organizator dorocznych nabożeństw ekumenicznych w czasie Tygodni Modlitw o Jedność Chrześcijan. Takie nabożeństwo odbyło się też w kościele św. Józefa.

Władysław Ratusiński



Fotografie: Zbigniew Burda

TRADYCJA



TRADYCJA

PRZEPROŚNA GÓRKA

Fotografie Leszek Piłichowski



Marian P. Rawinis
JUREK

Jurek bardzo lubił filmy. Przepadał zwłaszcza za komediami kryminalnymi, jak wtedy, na przełomie lat 60. i 70. nazywano francusko-włoskie produkcje rozrywkowe z Jeanem-Paulem Belmondo, Bermandem Blairem i innymi. W kinie, a w czasach licealnych uczęszczaliśmy głównie do kina „Pokój” na rogu Lipowej i Nowego Świata, Jurek śmiał się głośno, a że głos miał donośny, jego śmiech był bardzo zaraźliwy.

W szkole trzymał się raczej na uboczu, nie należał do żadnej grupy koleżeńskej. Nie pamiętam go na przywatkach w domach kolegów czy na podobnych spotkaniach. Nie widywałem go tam, ponieważ i sam brałem udział tylko w niektórych. Ale nie pamiętam go nawet ze spotkania pomaturalnego, gdy zebraliśmy się w domu Marka Ł. aby dać wyraz zadowoleniu, że maturowaliśmy już za sobą.

Lubił oddzielność, może nawet samotność. Nie rwał się do działalności społecznej, nie uczestniczył w szkolnych imprezach, nie występował na akademiach. Nie należał też do harcerstwa, była u nas drużyna wodniaków; nie chodził na zajęcia w klubie sportowym jak Włodek K., którego widywaliśmy w pochodzie pierwszomajowym ubranego w prestiżowy strój judoki.

Jurek z działaniami fizycznymi miał pewien kłopot. Był wysoki, nieco pulchny, rzadko kiedy brał udział w zajęciach wu-ef. Przedstawiał zwolnienie lekarskie, siedział na ławce pod drabinkami w sali gimnastycznej, wcale nie grał w piłkę na szkolnym boisku. Miał słabe serce i duże nadciśnienie, które uniemożliwiały mu takie zabawy. Niektórzy, którym także zdarzyło się siedzieć pod drabinkami, cierpieli tam z poczucia winy albo nawet wstydu. Jurek mało sobie robił ze swojej inności. Śmiał się głośno, wyszczerzał zęby i wydawało się, że to nie obchodzi go w najmniejszym stopniu.

Objawiał wyraźne skłonności do żartów, zwłaszcza absurdalnych, lubił zachowywać się dziwnie lub prowokująco. Miał na przykład zwyczaj wchodzić do pawilonu meblowego przy ówczesnej ulicy I Maja, gdzie długo i z namaszczeniem oglądał zestawy meblowe. Zawsze podchodził wtedy do szafy, otwierał drzwi, by zaraz je szybko zamknąć z głośnym: O, przepraszam! Wywoływał tym oczywiście zainteresowanie obecnych. Staliśmy potem z boku i obserwowaliśmy, jak kolejni klienci sklepu skradają się do szafy, żeby koniecznie zobaczyć to, co my obaj widzieliśmy wcześniej. Zagląдали, zamykali drzwi

z tajemniczą a czasem zawstydzoną miną, udając, że to oczywiście przypadek a nie ciekawość skłoniła ich do powtórzenia naszego zachowania.

Lubił też kioski z gazetami. W drodze ze szkoły stawał przed kioskiem, rzucał jakiś wymyślony tytuł, żeby z nieukrywaną satysfakcją usłyszeć: nie ma. Wtedy długo opowiadał, jak wygląda pismo, o czym traktuje, jak zajmujące materiały publikuje, fotografie, reportaże i wywiady. Po wykładzie odchodził zadowolony. Niech się uczą – mawiał.

Nic nie wiem o jego rodzinie, poza tym, że była inteligenckiego pochodzenia. I chyba dość zamożna, skoro Jurek jako jeden z pierwszych w naszej klasie zdobył prawo jazdy i jeździł samochodem. I wiem jeszcze jedno o Jurku G. Marzył, żeby zobaczyć świat pokazywany w filmach. Pragnął odbyć wielką podróż naokoło świata – najlepiej na motocyklu, bo przecież miał kłopoty z sercem i lekarz uniemożliwiłby mu eskapadę rowerową.

Po maturze studiował na Akademii Medycznej w B., otrzymał dyplom lekarza. Niedługo potem wyjechał za granicę, ostatecznie zamieszkał w Nowym Jorku. Nie pracował w swoim zawodzie, ale trafił do wolnego świata, gdzie nie potrzebował paszportu na każdy wyjazd, a jeśli potrzebował, mógł go mieć w każdej chwili bez trudu. Wolny świat nie pozwolił jednak na spełnienie chłopięcego marzenia. Jurek nie miał dość pieniędzy na wyprawę dookoła świata i nic nie wskazywało, że kiedykolwiek będzie inaczej.

Aż nagle świat sam się upomniał. Pewnego popołudnia Jurek stał przed domem, na chodniku, na rogu ulicy. Stał i rozmawiał ze znajomym, gdy nagle zza rogu wyjechał z piekielną szybkością motocykl. Potrącił stojących, przewrócił i poturbował. Jurek spędził wiele tygodni w szpitalu, chorował, długo dochodził do siebie.

A potem otrzymał sporą sumę pieniędzy z ubezpieczenia. Na tyle poważną, że postanowił coś zmienić w swoim życiu. Kupił motocykl, bajerancki motocykl z filmów, które oglądaliśmy kiedyś w kinie „Pokój”. Odtąd z zapalem jeździł po amerykańskich drogach, po priarach, górach i pustyniach.

Pojawiła się szansa na realizację dawnego marzenia. Jurek dowiedział się, że z Holandii ma ruszyć motocyklowa wyprawa dookoła świata. Rzucił dom, pracę i przeprowadził się do Europy. Dojechał tam szczęśliwy, z zachwytem pisał do znajomych, że wycieczka potrwa co najmniej dwa lata.

Ale Jurek nie wystartował. Zawsze miał wysokie ciśnienie, w holenderskiej miejscinie, położonej poniżej poziomu morza, umarł na serce.

Nie wiem, co stało się z jego motocyklem.

*ireland.pl (1)***Adam Key - Królikowski**
Mairtin z Cape Clear

U wybrzeży Cape Clear, dokładniej na północ od niej, leży wyspa Irlandia. Przynajmniej tak o ich położeniu mówią Kejpklirerzy. Oileán Cléire, czyli po irlandzku Cape Clear, to mała wyspa pełna bajkowych, zielonych i różowo-purpurowych kolorów, na której roi się od – zlatującego się niemal z połowy Atlantyku – wszelkiego ptactwa, oraz miejscowych muszek, które gryzą ponoć wyłącznie cudzoziemców. Latem panują na niej hiszpańskie wręcz upały, zimą natomiast w kółko tylko pada deszcz, a na dodatek wieje strasznie – śniegu jednak tam się nie ujrzy.

Cape Clear składa się z dwóch części: większej, północno-wschodniej i mniejszej, wysuniętej na południowy zachód. Przedzielone są one dwiema zatokami: północną, która jest portem, na południu natomiast kielichem Ineer Harbour, zwaną też South Harbour, do której zagładają tylko mniejsze łódki i żaglówki. Nad tą właśnie mieszkałem, po jej wschodniej stronie. Na drugim zaś jej brzegu, na łagodnym wzgórzu nazywanym Baile Iarthach Theas, w niewielkim domku, wraz z rodziną, zamieszkuje Mairtin.

Odwiędziłem go, chcąc by mnie uczył języka irlandzkiego. Tak mi bowiem poleciła właścicielka tutejszych dwu pubów (udających między sobą konkurencję), pani Mary O'Driscoll, do której klanu należała niegdyś cała wyspa Cape Clear, miejscowy zamek, inne wyspy, oraz pewna ilość wybrzeży południowej Irlandii, położonych w hrabstwie Cork. Gdzieniegdzie zresztą nadal mają jeszcze zamki. Jej owe dwa miejscowe puby to: Cotters Bar & Yard (tzw. pub grub, czyli jedynie z lekkimi posiłkami), oraz Ciarán Danny Mike's (pub i restauracja), który wołę, gdyż panuje w nim nie tylko dużo lepsza atmosfera, ale i z tarasu przed nim roztacza się, niekiedy wręcz przejmujący, widok na spora część wyspy.

Mairtin, jak niemal wszyscy mieszkańcy tej wyspy (z wyjątkiem Amerykanina i pary Anglików), jest irlandzkojęzycznym Irlandczykiem. Jak większość Irlandczyków urodził się w Dublinie – Irlandki robią tak celowo – lecz nie potrafił wyjaśnić dlaczego tu osiadł. Przybył z hrabstwa Galway, z Connacht, gdzie jego ojciec mówił jeszcze czystszy dialekt. Tutaj Mairtin ciężko pracuje, od rana do wieczora, na farmie rybnej, doglądając jednak hodowli nie ryb lecz małż, zwanych przezeń amelunami. Irlandczycy sprzedają je Japończykom. Ameluny te są bardzo wrażliwe i wymagające, więc harowa jest przy nich ogromna, a często też jeździć trzeba do nich w środku nocy.

Nie wszyscy są pewnie zorientowani, jak na Cape Clear wyglądają jednak drogi – stąd potrzebne tu chyba będzie drobne intermezzo. Nawet jeśli z grubsza są one asfaltowe, a częściej kamienisto-żwirowe, to zawsze są przy tym jednojezdniowe, co nie znaczy wszak jednokierunkowe. Drogi tam posiadają dwa kierunki, lecz tylko jeden pas. Wszystkie otoczone są ciasno kamiennymi murkami i nie ma wzdłuż nich poboczy. Niekiedy tylko rozszerzają się nieco, aby móc się ewentualnie wyminąć. Gdy widzisz zatem w oddali, że z naprzeciwka ktoś jedzie, to stój w takiej wnęce i czekaj. W nocy jednak sprawa wygląda inaczej. Co drugi samochód nie ma tam światła, bo zdążył je stracić na murkach. Nie ma tu także warsztatu, a części nie dowożą. Zużyte samochody więc – po cichu, lecz z rytualną oprawą – pali się i zrzuca



Married Stones (Kamienie Małżeńskie) – pozostałości kamiennego kregu druidów, w którym niegdyś znajdowało się sanktuarium, szkoła i obserwatorium astronomiczne. Przeciągnięcie białej chusteczki przez otwór widoczny w kamieniu zapewnia szczęśliwe pożycie w małżeństwie. (Fot. Autor)

z kłifu w ocean. Co trzeci samochód na Cape Clear to całkowity dezeli, który zderzaki, a nawet całą maskę ma podwiązane drutem lub sznurkiem. Mairtín ma trzy takie dezele, które katuje nocami po murkach, ratując od przemarznięcia bądź przegrzania swe eksportowe ameluny.

Nauczył mnie Mairtín Ó Méalóid wymawiać około pół tysiąca irlandzkich słów. Niemal codziennie wieczorem zachodziłem do niego, mając wypisane w zeszyte trzydzieści słówek, które powtarzaliśmy na głos siedząc zwykle przed jego domem na trawie. Jego żona, Geraldine, oraz dzieci, także rzecz jasna mówią na co dzień po irlandzku. Cape Clear to miejsce do którego chrześcijaństwo zawitało jeszcze przed św. Patrykiem. Tutaj czuje się jeszcze to zetknięcie kultur: na zachodzie wyspy znajdują się ruiny wczesnośredniowiecznego kościoła oraz kapliczka upamiętniająca pierwszego jej apostoła – św. Kiarana, na wschodzie zaś stoi słup ogamiczny i sterczą pionowo pozostałości kamiennego kręgu druidów. Zapytałem Mairtína dlaczego w języku irlandzkim nie ma wulgaryzmów ani przekleństw. Bo język irlandzki jest „czysty i szlachetny”, pure and noble – odparł. Dopiero wtedy zrozumiałem nagle, jacy są ludzie, którzy między sobą mówią po irlandzku.



Leprachan – skrzat strzegący ognisk domowych. Stara zagroda O'Driscollów, Cape Clear. (Fot. Autor)

Konkurs literacki

REGULAMIN Międzyszkolnego Konkursu Literackiego na Opowiadanie „Z Częstochową w tle”

Celem konkursu jest inspirowanie zainteresowań literackich oraz poszukiwanie i promowanie młodych, utalentowanych prozaików

ORGANIZATORZY:

Filia nr 1 i Filia nr 9 Biblioteki Publicznej im. dr. Władysława Biegańskiego w Częstochowie

WARUNKI UCZESTNICTWA:

1. Do konkursu organizatorzy zapraszają młodzież częstochowskich szkół ponadgimnazjalnych
2. Warunkiem uczestnictwa jest dostarczenie w nieprzekraczalnym terminie do 15 listopada 2008 r. jednego samodzielnie napisanego, nigdzie niepublikowanego i nienagradzanego w innych konkursach opowiadania z motywami częstochowskimi. Temat opowiadania jest dowolny, ale musi ono zawierać czytelne elementy związane z Częstochową
3. Objętość prac nie może przekraczać 5 stron normalizowanego maszynopisu (ok. 9 000 znaków). Prace powinny być oznaczone godłem (pseudonimem literackim). W kopertach oznaczonych tym samym godłem autorzy powinni umieścić następujące informacje:

Tytuł pracy - Imię i nazwisko autora - Nazwę i adres szkoły oraz klasę - Imię i nazwisko nauczyciela polonisty - Numer telefonu kontaktowego i e-mail

4. Prace konkursowe należy złożyć w Filii nr 1 Biblioteki Publicznej im. dr. Wł. Biegańskiego, Al. Niepodległości 11 (tel. 363 64 44) lub w Filii nr 9, ul. Nowowiejskiego 15 (tel. 360 61 14)

5. Oceny prac i przyznania nagród dokona jury w składzie: Marian P. Rawinis (pisarz, dziennikarz, redaktor naczelny Dwumiesięcznika Kulturalnego Częstochowy „Aleje 3”), Anna Woźnicka (bibliotekarz), Piotr Nita (członek grupy literackiej Blee), Ilona Kowalska (bibliotekarz, polonista), Agnieszka Batorek (bibliotekarz, kulturoznawca)

6. Nagrody:

Autorzy trzech najlepszych opowiadań otrzymają cenne nagrody rzeczowe. Ponadto najlepsze prace zostaną opublikowane w Dwumiesięczniku Kulturalnym Częstochowy „Aleje 3”

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi pod koniec listopada 2008 roku

Wszelkie dodatkowe informacje można uzyskać bezpośrednio u organizatorów konkursu.

Elżbieta Hurnikowa Lekcja Kuśniewicza

Przed kilkoma tygodniami częstochowianie mieli okazję obejrzeć w Sali Rycerskiej na Jasnej Górze wystawę dzieł Jerzego Nowosielskiego oraz towarzyszących im ikon. Twórczość Nowosielskiego, uważanego za jednego z najwybitniejszych pisarzy ikon, jest wnikliwie komentowana przez znawców sztuki, krytyków, badaczy. Wystawa dała sposobność bliźszego przyjrzenia się kompozycjom artysty, ich związkom z liturgią wschodnią, zetknięcia się z dziełami nasyconymi treściami metafizycznymi. Każde ważne spotkanie ze sztuką jest inspirowane i często prowokuje do refleksji prowadzących w różne jej dziedziny.

Mnie wystawa przywiodła na myśl powieść Andrzeja Kuśniewicza *Lekcja martwego języka* (Kraków 1977), w której ważną rolę odgrywają dzieła sztuki, w tym ruskie ikony. Bohater powieści, ciężko chory austriacki porucznik Kiekeritz, jesienią, u schyłku I wojny przebywa na terenie Karpat, w nadleśnictwie znajdującym się w wiosce niedaleko Lwowa. Oddaje się tam swojej pasji kolekcjonerskiej. Wśród zgromadzonych przedmiotów posiada rzeczy bezwartościowe (makatki, oleodruki), ale też prawdziwe dzieła sztuki. Znajduje je czasem przypadkowo, zaniedbane, w wiejskich zabudowaniach: *Aż tu nagle ołśnienie: a cóż to? (...) zaskoczenie: czy mnie przypadkiem czy nie mylą? tutaj? takie чудо? Oto spod schodków werandy wystaje do połowy zablocony, pokryty jadem dla drobitu i śladami kurzych łap, najautentyczniejszy z autentycznych talerz miśnieński.* (s. 39)

Szczególne zainteresowanie porucznika budzą stare ruskie ikony, kupowane i wyludzone od *unicich parochów*, wynajdywane w różnych miejscach (np. w cmentarnej kaplicy w jednej z odległych górskich wiosek lub w starych cerkwiach). Ponieważ Kiekeritz nie znalazł dokładnie na malarstwie bizantyjskim, przestudiował sprawzone z Wiednia dwie specjalistyczne książki na ten temat, zgłębiając wiedzę na temat warsztatu i treści duchowych zawartych w ikonach: *Porucznik wie już, że oblicza Madonn na ikonach malowane są farbą rozcieńczoną w wodzie różanej, gdyż wyobrażenie oblicza Przczystej, a za jej przykładem i przez uszanowanie także świętych, jest aktem religijnym, wręcz mistycznym.* (s. 44)

Kiekeritz zachwycił się przede wszystkim dematerializacją postaci, ich odczłowieczeniem wynikającym z obaw, by nie stały się zbyt bliskie istotom ludzkim, a więc śmiertelnym, grzeszonym:

Dlatego malowano oczy nierealne, wielkie, rozszerzone ponad ludzkie wymiary, zapatrzone w przestrzeń pozaziemską, nie widzące nędznych form tego świata, naszego bytu, adorujące w zachwycie samego Boga lub otwarte na rozcięcie niebo. Usta zaś wręcz odwrotnie: winny być małe, nie stworzone bowiem zostały dla ziemskich uciech, nie znaly i nigdy nie zaznają ziemskich pokus. (...) Czoło natomiast wysokie i odsłonięte, można by rzec – widne; jest przecież zwieńczeniem i frontonem świątyni ducha, siedliskiem myśli, przybytkiem uczuć wyższego rzędu. Cala w ogóle twarz winna być raczej ciemna, by uniknąć, na ile się tylko da, barwy realnej ludzkiego ciała, gniazda grzechu. (s. 56-47).

Urzeczony pięknem i duchowym wymiarem malarstwa wschodniego, porucznik roztrząsa wszelkie detale gromadzonych ikon. Relacja narratora wzbogacana jest niekiedy o konstatacje wykraczające poza kompetencje bohatera: *Oglądającemu tę ikonę na znakomity skądinąd produkcji przyszło na myśl, iż cala kompozycja, a zwłaszcza wyraz oczu Madonny, jest w ujęciu i pomysłach nowoczesna. Mógłby ją stworzył któryś z prerafaelitów na przykład lub ktoś z symbolistów, boćaj nawet sam Munch.* (s. 49)

Każdy znaleziony przedmiot sztuki porucznik traktuje w pietyzmem, zniszczonym rzeczym przywracając dawny blask. Część zdobyczy przesyła do Grazu, gdzie mieszka jego matka. *W ten oto sposób wzrasta, bogaci się, pęcznieje kolekcja pana Kiekeritza. Mimo wojny, a może właśnie dlatego, że wojna.* (s. 41). Ta ostatnia konstatacja jest szczególnie ważna: *...dlatego, że wojna.* Pasja kolekcjonerska Kiekeritza ujawnia się w tym większą siłą, im bardziej czytelnikowi objawia się fakt, iż bohater, począwszy od pierwszych stron powieści, porusza się w przestrzeni naznaczonej śmiercią. Sam też nosi śmierć w sobie; jest chory, umiera, gdy kończy się wojna. W tym samym czasie jego matka otrzymuje paczkę zawierającą trzy ikony i jeden sztych.

Świat, w którym żył bohater, rozpada się. Gromadzone przez Kiekeritza przedmioty stają się łącznikiem ze światem sztuki, znakiem większej całości. To z nich rekonstruuje on, jak pisze jeden z badaczy twórczości Kuśniewicza, „świat znaczeń, dostępnych dla niego, niezrozumiałych natomiast dla większości osób z jego otoczenia”¹. „Martwy język” staje się jedną z wielkich metafor określających odchodzące formacje kulturowe i jednocześnie diagnozą pokoleń późniejszych.

¹ I Alois Woldan, *Mit Austrii w literaturze polskiej*, tłum. K. Jachimczak, R. Wojnarowski, Kraków 2002, s. 63.

Ścieżką na wzgórze

Do Muzeum Haliny Poświatowskiej przy ul. Jasnogórskiej 23 w dniu 16 sierpnia mimo niesprzyjającej aury, przybyli liczni goście (ponad sześćdziesiąt osób), by uczestniczyć w promocji tomiku „Ścieżką na wzgórze” i wernisażu wystawy malarstwa kameralnego Marii Oglazy.

Wieczór rzeczowo i pięknie poprowadziła prof. Elżbieta Hurnikowa (Akademia im. Jana Długosza), zaś imprezę zaprezentował i otworzył Janusz Jadczyk – dyrektor Muzeum Częstochowskiego.

Szczególnym gościem był Ireneusz Kozera – naczelnik Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Częstochowy; to dzięki subwencji tej instytucji (na wniosek ZPAP Okręgu Częstochowskiego) tomik poezji i folder ukazały się w druku a wystawa została zrealizowana.

Przedstawione na wystawie obrazy objęły tematycznie malowane (w technice własnej) kwiaty, rośliny ogrodowe, stanowiły one „przedłużenie ogrodu” Poświatowskiej, który poeta wyraźnie lubił, skąd często czerpała inspiracje do swych wierszy.

Odrębnie obok tych obrazów umieściłam portret Haliny Poświatowskiej, który namalowałam wśród winorośli i rudości jesieni – tego wieczoru portret ów podarowałam Zbigniewowi Mydze – kustoszowi zbiorów Domu Poezji, a prywatnie bratu Poświatowskiej.

Książka „Ścieżką na wzgórze” to kolejny (czwarty z rzędu) tomik wierszy, po wydanych poprzednio: „Na garnuszku u Pana Boga (1995)”, „Białe motyle” (1997), „Okrucy codzienności” (2003). Obejmuje wiersze

dotychczas niepublikowane. Jest to zbiór obserwacji, przemyśleń i emocji – jak stwierdziła prof. Hurnikowa – „są to wiersze pełne nieoczekiwanych skojarzeń i obrazów, mówią też o przyjaźni jako jednej z wartości fundamentalnych w naszym życiu”.

Te wiersze to moje wewnętrznie przeżyte krajobrazy, w których zawarłam przemyślenia o istocie naszego bytu i przemijania.

Wszystkim miłym gościom za ich życzliwą obecność w dniu wernisażu, liczne bukiety kwiatów i souveniry serdecznie dziękuję

Maria Oglaza



Fot. Leszek Piłichowski



Fot. Leszek Piłichowski

W WOJSKU LUDOWYM

Tadeusz Gierymski

Jesienią 1949 roku zostałem powołany do wojska. Rozpacz! Że świata wolności tam, gdzie obowiązują bezwzględne posłuszeństwo, wypełnianie głupich rozkazów, a życie jest surowe i trudne.

Jechałem do Tarnowa z przekonaniem, że długo w WP nie pobędę. Przecież ja, wciąż przeziębiony, któremu nawet w lecie matka zakładała szalik, zaraz się rozchoruję, pójdę do szpitala, a stamtąd do domu. W Łodzi matka wciąż chodziła ze mną do różnych lekarzy. Chciała dobrze, kochała, lecz wychowywała na maminsynka. Mimo tej nadopiekuńczości (a może z jej powodu) zawsze byłem przeziębiony i miałem gorączkę. A co dopiero będzie teraz!

Na drugi dzień po przyjeździe do Tarnowa zaczęło się prawdziwe wojsko. Rano pobudka, wybieg na gimnastykę. Dwa kilometry biegu. Potem ćwiczenia fizyczne i mycie się w zimnej jak lód wodzie (była już połowa października). Zapalenie płuc gotowe! Niestety, nie zachorowałem, i to aż do końca pobytu w wojsku. Przyjechałem do Tarnowa jako chudzielec, wyjechałem po 9 miesiącach o 10 kilogramów cięższy. Chorowali inni, ja – nie, chociaż w pierwszym miesiącu bardzo tego chciałem. Wysiłek fizyczny, niustanny ruch, biegi z obciążeniem, ranne wstawanie, musztra, to wszystko wyszło mi na dobre. Byłem w plutonie moździerzcy 82 mm. Taki moździerz (sowiecki) składał się z trzech części: tarczy, trójnogu i lufy. Nosiłem tarczę, ważącą około 20 kilogramów. Kompania miała nadto pluton karabinów maszynowych (słynne maksymy) i pluton strzelców. Ostre strzelanie odbywało się rzadko, oszczędzano amunicję.

Codziennie maszerowaliśmy 5 kilometrów do podnóża Góry św. Marcjina i z powrotem do koszar. Obiad, czyszczenie broni (najbardziej nudne zajęcie). Dwie godziny wolnego czasu, kolacja i zmordowani zwalaliśmy się na łóżka. Cała kompania w jednej dużej sali. Toteż rano, zwłaszcza zimą, powietrze było gęste jak zupa czosnkowa.

Stosunki międzyludzkie? Nasza kompania oficerów rezerwy była, jak na owe czasy, elitarna. Mieliśmy oddzielny budynek na terenie 15. pułku piechoty, lepsze wyżywienie i całkiem dobre stosunki z kadrą. Władze wojskowe zamierzały w ten sposób naklonić nas do pozostania w armii na stałe. O żadnej „fali” i ekscesach dowódców i kolegów nie było mowy. Osobiście miałem szczególne względy. Mieliśmy przydzielonego do kompanii oficera wychowawczo-politycznego, tzw. politruka, Kajetana Czerwińskiego. Dowódcą kompanii był kapitan Barański – z pochodzenia Żyd, łagodny, nawet uprzejmy, aczkolwiek rzadko go widywaliśmy. Na co dzień mieliśmy do czynienia z podoficerami. Sadystów jeszcze nie było.

Poza ciężką pracą, nudnymi dla mnie wykładami, warunki były znośne. W pierwszym miesiącu gnębiła mnie nostalgia, tęsknota za domem, mamą, dyskusjami o litera-

turze, ludźmi o innej osobowości i inteligencji, niewulgarnym słownictwem. Często skrywałem się w jakiś kąt i po prostu... płakałem jak małe dziecko. Raz znalazł mnie w takim stanie nasz szef kompanii, starszy sierżant, który przybył do Tarnowa aż znad Oki. Zaczął mnie pocieszać, dawać rady, brać na męski honor. Gorszy był bezpośredni nasz zwierzchnik, złośliwy plutonowy. Ten nieraz mnie wyśmiał przed całą kompanią na porannym apelu, że nie potrafię po wojskowemu posłać łóżka, porządnie pozamiatać sali sypialnej, że podczas marszu nie śpiewam, tylko otwieram usta itp. Nienawidziłem go z całych sił, ale wszystkie rozkazy musiałem wykonać. Mieliśmy też porucznika, który znał swe rzemiosło, lecz o niczym innym, duren, rozmawiać nie potrafił. Z czasem zauważyłem, że w wojsku jest cała gromada ludzi ograniczonych, którzy w życiu cywilnym byłiby niczym. Tutaj jednak mogli rozkazywać, karać za wymyślone przewinienia, rządzić, i w tym mieć satysfakcję. Większość podoficerów i oficerów niższego stopnia czytała w życiu chyba tylko jedną książkę: regulamin, który traktowali niczym biblię. I ta ich pewność siebie w każdej sytuacji! Ale tylko ludzie głupi są zawsze pewni. Być może, że w owych czasach filozofia wojska na tym polegała: bezmyślne posłuszeństwo, nic więcej.

Z wspomnianym politrukiem zbliżyłem się podczas redagowania gazetki ściennej. Przeczytał wszystkie moje dziwaczne teksty (pisałem tam o futuryzmie, Skamandrze itp.). Kajetan, bo tak go nazywaliśmy z imienia, zgodził się na taki profil wojskowej gazetki. Na drugi dzień wieczorem dostałem przez plutonowego rozkaz, abym się stawiał natychmiast w pokoju politruka. Szedłem zatroszony. Kajetan, o jakichś 10 lat starszy ode mnie, też pisał. Chciał mi przeczytać coś swojego. Po kilku zdaniach ze zdumieniem zauważyłem, że tematem jego opowieści jest życie Jezusa! Był to nietypowy politruk, nieśmiały bardziej ode mnie, na domiar w trakcie lektury czerwienił się. Od tego czasu moje wizyty u Kajetana bywały dość częste. Zastanawiałem się, kto go na to stanowisko mianował... Zupełnie się przecież do tej roli nie nadawał. Kajetan pomógł mi przetrwać 9 miesięcy wojska. Dzięki niemu mogłem, jeszcze przed przysięgą, wyjść do miasta. Zaraz pomaszerowałem do biblioteki miejskiej. Pamiętam, że pierwszą wypożyczoną książką była „Pani Bovary” Gustawa Flauberta.

Kajetan pomógł mi też w poważniejszej sprawie, już na poligonie. Na praktykę do pułku przyjechało kilku studentów z Łodzi, gdzie mieściła się szkoła kształcąca oficerów polityczno-wychowawczych. Ich wykłady odbywały się w obszernych altanach. Słuchaczami byli rekruci, niedawno powołani do służby zasadniczej z obszaru Podhala. Prostacy, niektórzy mieli nawet trudności z czytaniem i pisaniem. Nieraz przysłuchiwałem się wykładom „politycznego”. Nie byłem zachwycony. Ideologizował, komunizował, lecz bardzo niezdarne. Wiedzę o marksizmie, na który wciąż się powoływał, nie miał dużej, poza kilkoma banałami, był nieukiem i leniem. Pewnego razu poprosił mnie, abym go zastąpił, bo zachciało mu się piwa. Musiał pobiec do kantyny. Dokończyłem jego pogadankę, po której następowały pytania słuchaczy. Większość pochodziła

WSPOMNIENIA

z Podhala. Mieli rodziny w Ameryce, skąd rodziny poborowych otrzymywały paczki.

Wstaje żołnierz i pyta, kto zarabia więcej: robotnik polski czy amerykański. „Prawidłowa” odpowiedź powinna brzmieć mniej więcej tak: imperialiści amerykańscy wyzyskują klasę robotniczą do niemożliwości, pozostawiając robotnikom zaledwie tyle, żeby mogli żyć i ciężko pracować. W Polsce socjalistycznej jest inaczej, władza należy do robotników w chłopów, więc oczywiście byt naszej klasy robotniczo-chłopskiej jest lepszy, a w niedalekiej świetlanej przyszłości... itd. Wiedziałem jednak o pomocy dla podhalańskich rodzin żołnierzy. Odpowiedziałem, iż robotnik w USA zarabia więcej niż Polak w kraju, gdyż niszczyła nas wojna, na której imperialiści, kapitaliści amerykańscy zarobili. Ale wkrótce staniemy na nogach itp. Mój polityczny kolega uważnie przysłuchiwał się, co mówię. Na drugi dzień podczas raportu rozkazało mi, abym zameldował się politrukowi pułkowemu, czyli zastępcy dowódcy 15. pułku piechoty. Ani domyślałem się, o co chodzi. Jakąś godzinę przed raportem odszukał mnie Kajetan. Okazało się, że kolega, którego wiele razy wyręczałem w wykładach, doniósł na mnie do sztabu politycznego. Nie wiem, jaką bym otrzymał karę. Wstawił się jednak Kajetan i skończyło się dobrze. Więcej już donosicielew nie poмагаłem ani z nim nie rozmawiałem.

Cofnijmy się z poligonu do Tarnowa. Po przysiędze wojskowej nasza kompania mogła już pełnić nocną wartę. Przedtem musieliśmy wykuć na pamięć regulamin służby wartowniczej.

Zimowa noc, ale bez śniegu. Staaliśmy dwie godziny, potem zmiana, odpoczynek w wartowni i znów warta. Lubilem także nocne czuwanie, spacerując od węgła do węgła budynku koszar, mogłem myśleć o cywilu i o niebieskich migdałach. Byłem wówczas odizolowany od kolegów, ich wulgarnej mowy. Chwilę natomiast estetycznego wzruszenia przeżywałem na miejscu codziennych ćwiczeń, 5 kilometrów za Tarnowem. Był to pofałdowany płaskowyz, z którego, przy przezroczyście powietrza i pogodzie, widać było srebrzyste szczyty Karpat.

Ale wróćmy do służby wartowniczej. Którejś nocy zobaczyłem nagle postać człowieka skradającego się w moją stronę tuż przy murze. Jak kaže regulamin, błyskawicznie zdjąłem z ramienia karabin. Wykrzyknąłem z całych sił: „Stój, kto idzie! Stój, kto idzie! Stój, ręce do góry, bo będę strzelał!” Było dość ciemno, lecz widziałem, że szpieg imperialista pochylony przy murze dalej posuwał się w moją stronę. Strzelę mu pod nogi – pomyślałem. I strzeliłem. W nocnej ciszy rozległ się potężny huk. Kolba uderzyła mnie w ramię. Wróg zniechęcony. Trzymałem go nadal na muszce. Przybiegło dwóch kolegów wartowników. Pobiegli z bronią w stronę mojego celu. Dumny stałem gotowy do następnego strzału. Powrócili i do mnie: „Wariacie, naszego oficera chciałeś zabić?”

Co się okazało? Wieczorami zawodowi oficerowie, którzy nie mieli rodzin i mieszkali w koszarach, często wychodzili do miasta na zabawy, popijawę. Wracali nad ranem mniej lub bardziej podchmielemi. Ten cień przyklejony, opierający się o mur, był jednym z oficerów.

Nazajutrz na apelu kazano mi wystąpić przed szeregiem i otrzymałem pochwałę za czujność i regulaminowe zachowanie się podczas warty. Zostałem także zwolniony do końca służby z nocnej warty. „Nagroda” ta wynikała z obawy, żebym naprawdę jakiegos oficera nie postrzelił lub zabił. Był to iście Salomonowy wyrok. Od tej pory gdy inni trzymali nocną wartę – ja spałem.

Napisałem, że strzelałem do człowieka, właściwie nie do niego, pocisk przeszedł obok. Przy okazji chciałbym wspomnieć, że nieomal nie zabiłem sam siebie i całą obsługę moździerza. Było ostre strzelanie. Obsługa granatnika składała się z trzech osób. Byłem tym, co granat wrzucał do lufy. Ponieważ strzelała cała bateria, huk był nieustanny. Którys pocisk miał jakąś wadę, bo nie wyleciał w powietrze. Ładowniczy podał mi następny i już go miałem wsunąć do lufy. Na szczęście nasz podoficer obserwował moją operację i w ostatniej sekundzie wyrwał mi granat z rąk. Gdyby nie to, oba pociski wybuchłyby w lufie i uśmierciły całą załogę moździerza, ze mną włącznie.

Jak widać, na żołnierza frontowego się nie nadawałem, w plecaku buławy marszałkowskiej nie nosiłem, chociaż mało brakowało, żebym nie został oficerem zawodowym. Trzeba dodać, że w ostatnich dniach mojej żołnierski wybuchła wojna między Koreą Północną a Południową. W owym czasie taki konflikt łatwo mógł się przerodzić w trzecią wojnę światową. Wojskowe władze polityczne rozpoczęły propagandę zatrzymania podchorążych w wojsku. Moim atutem było to, iż miałem zdany egzamin na polonistykę w Łodzi. Mimo to z Warszawy przyjechał pewien major (myślę, że też politruk), u którego wnet miałem się zameldować. Był grzeczyne, uprzejmy, kazał mi usiąść, poczęstował dobrym papierosem i pytał mnie o różne rzeczy, a zwłaszcza o dalsze plany życiowe. W końcu zaczął namawiać, żebym został w wojsku. Była to argumentacja określna, przekonująca, nienachalna. W takiej sytuacji moja przesubtelniejsza natura nie mogła zdecydowanie odmówić. Tydzień później wysłałem do majora list. To było dla mnie wygodniejsze niż osobista rozmowa. Z początkiem lata 1951 roku uszczęśliwiony wróciłem, już w cywilnym ubraniu, do Łodzi.

Gdy z perspektywy dziesiątek lat patrzę na moją przygodę wojskową, myślę, że była mi potrzebna. Zmęźniałem fizycznie, stałem się bardziej samodzielny, przestałem być maminsynkiem. Nikt nam specjalnie nie dokuczał ani nad nami się nie znechał. Gdyby mnie jednak ktoś zapytał, co było dla mnie najbardziej przykre, odpowiedziałbym paradoksalnie, lecz zgodnie z prawdą, że sprawa załatwienia potrzeby fizjologicznej. Dotyczy to pobytu na poligonie, gdzie WC składało się z okorowanego pnia sosny leżącego poziomo na dwóch innych pniakach. Zwykle siedziało tam kilku kolegów, prowadząc pogaduszki. Na szczęście nasze namioty stały tuż przy lesie. Tam więc biegaliśmy. Mało tego, w wolnych chwilach czytałem w pewnym zakątku książki. Na poligonie przeczytałem, po kilka kartek, tylko jedną. Pamiętam, było to grube tomsko Romaina Rollanda „Jan Krzyżstof”.

Tadeusz Gierymski

Janusz Mielczarek

GRANICA

70 lat temu Niemcy, po zdławieniu wspólnie z Sowietami wojskowego oporu Polaków, przystąpili do wprowadzenia nowych porządków na podbitych ziemiach. W październiku 1939 roku Hitler wydał rozporządzenia, na podstawie których część polskich ziem wcielono do III Rzeszy, aby z pozostałych utworzyć specjalną jednostkę o nazwie Generalna Gubernia, którą zawiadywał rezydujący w Krakowie H. Frank. Linia rozgraniczająca te tereny w pobliżu Częstochowy biegła przez Kawodrzę, Gorzelnię i Grabówkę. Zniknął powiat częstochowski, a szczytkową jego część przyłączono do powiatu radomszczańskiego. Pozostała, wcielona do Rzeszy, tworzyła jednostkę mającą siedzibę landratu w Błachowni (tzw. Kreis Blachstädt). W ten sposób ok. 300 m od dzisiejszej granicy miasta, w Gorzelnicy, była granica III Rzeszy. Warto przypomnieć, że granica państwowa Polski w tym kierunku przed 1 września 1939 r. znajdowała się ponad 30 km na zachód od Częstochowy, za Przystajnią, na rzece Liswarcie, w pobliżu wsi Kamińsko, Górki Stany i Bodzanowice.

Tak się ułożyła wojenna geografia w mojej rodzinie, że z rodzicami mieszkaliśmy w Częstochowie, a dziadków – zarówno ze strony mamy jak i ojca – miałem już za granicą, w Rzeszy. Ci ze strony mamy byli mieszkańcami Klepaczki (ponad 20 km od Częstochowy), ci ze strony ojca mieszkali za Przystajnią.

Okupant zgadzał się co jakiś czas wydawać zezwolenie na kontaktowanie się rodzin po obu stronach granicy, ale przezwolenie przez Polaków „strategicznymi” – jak byśmy to dzisiaj powiedzieli – artykułów, czyli słoniny lub mięsa (chodziło o minimalne ilości) traktował z całą bezwzględnością. Groził za to obóz koncentracyjny lub – w najlepszym wypadku – wywózka na roboty do Niemiec. Było głodno, bo okupacyjne kartki pozwalały na zakup niewielkich ilości razowca (tzw. popularki), marmolady z buraków, margaryny i kaszy. Z narażeniem życia organizowano przemyt. Gdy była możliwość legalnego przejścia lub przejazdu (w grę

wchodził tu jedynie rower) na „drugą stronę”, próbowano w drodze powrotnej od rodzin, które w warunkach wiejskich miały się trochę lepiej, przywozić żywność na przetrwanie.

Była jesień 1943 roku, ja miałem 7 lat, a moja wspaniała, choć filigranowej budowy, ważąca 45 kg mama – 27. Skorzystaliśmy z zezwolenia na wyjazd do dziadków mieszkających w Klepaczce, koło Truskolasów. Podróż odbywała się na pożyczonym od dziadków rowerze. Zajmowałem miejsce na ramie (rower był tzw. męski) owiązanej kawałkiem starego koca. Trzęsło niemiłosiernie, bo drogę stanowił trakt utwardzony wapiennym kamieniem. Jednak wszelkie niewygody były bez znaczenia w porównaniu ze strachem, jaki towarzyszył na każdym kroku.

Po kilku dniach pobytu na wsi, ruszyliśmy w drogę powrotną. Mieliliśmy na „colancie” (granicy) być jeszcze w nocy, bo podobno ta zmiana „grenzschutzów” (niemieckich strażników granicznych) była „bardziej ludzka” i nie przeprowadzała zbyt szczegółowej rewizji. Do granicy wracałem na rowerze odprowadzającego nas dziadka, aby mamie jechało się łatwiej. Przed Gorzelnią przesiadłem się na rower mamy. Teraz na ramie, pode mną, podwieszona była sfatygowana teczka z ceną zawartością: sporę osekli masła, kilku marchewek dla niepoznaki, a pod nimi największy skarb – duży płat solonej słoniny.

Wiadomo, że w niemieckich służbach wojennych psy stanowiły całą armię bezwzględnych dla ofiar, dobrze wyszkolonych, czujnych pomocników. Takie były także na granicy. Gdy mamę legitymowano w ledwie oświetlonej budce (obowiązywało zaciemnienie), rower oparty był o płot, a ja nie opuszczałem swojego na nim miejsca. W tym czasie z budki wyszedł duży, biały pies. Zamarłem, bałem się go jako zwierzęcia i strażnika. Dotykał nosem moich dygoczących ze strachu nóg, trącał je, przesuwał. Wydawało się, że trwa to całą wieczność. Ale pies nie zaszczekał, nie dał znać swojemu panu, że pod tą trzęsącą się galaretką dziecięcych kończyn jest bardziej łakomy kasek. Dlaczego? Często o tym myślę, nie znajdując wytłumaczenia.

Wkrótce po wejściu Armii Czerwonej, wuj - mieszkający w tej samej wsi co dziadkowie - stał się posiadaczem identycznego psa jak ten, z którym miałem spotkanie na „colancie”. Nazwano go Fryc. Był groźny, bałem się go i zastanawiałem: czy to może ten sam.



Jesienią 1939 roku okupanci postavili w Gorzelnicy siedem jednakowych domów dla grenzschutzów. Były zielone i miały czerwone dachówki. Do dzisiaj zachowały się dwa.

WAKACJE I PO WAKACJACH

Zbislaw Janikowski

Wspominając niegdysiejsze letnie wakacyjne przygody chciałoby się cofnąć w tamte lata i tamte miejsca, niektóre przygody przeżyć ponownie...

Niedawno dotarła do mnie wiadomość, że przed kilku laty starą stodołę, miejsce niezjednego wakacyjnego szaleństwa i niejednej zabawy, rozebrano i sprzedano, że wiekowy żeliwny korpus kieratu poszedł na złom, że studnię z żurawiem zasypano, bo woda, którą pito od zawsze, okazała się niezdrowa i szkodliwa, że nawet psia buda zniknęła, i wreszcie najważniejsze – dom, w którym mieszkaliśmy, jeszcze stoi ale odliczając dni do wyburzenia. Pojechałem, by przekonać się, jak to teraz rzeczywiście wygląda – ano, nie jest i nie wygląda tak, jak zapisało się w mojej pamięci. Dobrze, że jest jeszcze ta pamięć...

Letni czas, w którym tam niedawno trafilem, letnie wieczory tuż przed zachodem słońca, były takie same (słońce zachodziło jak dawniej, za kobierzycką górką), jednak za starym domem nie było już pochylonej wiatrami tui, nie było kępy bżów i wrośniętych w drewniany płot dzikich wisienek. Szpaler ozdobnych, posadzonych równiutko „pod sznurek”, krzewów i iglaków, wyżwirowane ścieżki i wypielęgnowane gazony w niczym nie przypominały dawniej ni to łąki ni trawnika. Dopiero natręte buczenie tuż koło mojej głowy przypominało dawne... Koło głowy wirował swym ciężkim lotem chrabaszcz, taki jak dawniej, odruchową wyciągnąłem rękę i jak dawniej trafilem bezbłędnie, strącając go na ziemię. Leżał na grzbiecie, przebierając w powietrzu niezdarnie sześcioma a może ośmioma nogami. Dał sobie radę, odwrócił się, podniósł chitynowe pokrywy skrzydełek, jeszcze chwilę kręcił się przyjmując najlepszą pozycję startową, znowu rozległo się cichutkie buczenie a on wzbił się powietrze. Niestety, siedzący obok kocur czekał tylko na ten moment, jak na sprężynie wyskoczył, niby kłaśnieciem w ręce złapał przednimi łapami mojego chrabaszczą, przysiadł z nim na chwilę, wypuścił, po czym energicznie przyduśił łapą i pożarł, dokładnie tak jak kilkadziesiąt lat temu inny kocur innego „charabola”.

Rozejrzałem się, chrabaszcz wzbijał się w powietrze jeden za drugim, nie było jednak Andrzeja, z którym wspólnie połowaliśmy na tego dzikiego zwierza. Płon jednego wieczoru, to pełna, sporych rozmiarów puszka po unrowskich smakotkach. Przykryliśmy ją jakąś deseczką, ale rano była pusta, kłębiąca się chrabaszczowa masa zrzuciła pokrywkę i zwiła, pozostawiając na dnie dwóch czy trzech stratowanych nieszczęślików. Następnego wieczora puszkę obciążyliśmy półcegłówką, pomogło, z tym że całe towarzystwo podusiło się. Trzecie podejście było już udane, puszka podziurawiona gwóździem, stała się przewiewna, ceglane zamknięcie wypróbowane, nasza zdobycz doczekała ranka. Babcia – Pani, świec nad jej duszą! – zdawała się być równie jak my ucieszona. Mrowiącą się chrabaszczami puszkę zalała gorąca woda z czajnika a za-

wartość dała kurom do spożycia – te dopiero cieszyły się, plon połowania zniknął w ich żołądkach w mgieniu oka. Otdąd, póki trwał chrabaszczowy sezon, staliśmy się stajmymi dostawcami kurzego przysmaku.

Wielki ogród (teraz nie wydawał się już wielkim), kończył się sporym ugiem, który na kilka lat stał się gminnym miejscem skupu żywcia. Pamiętamy, że była to epoka obowiązkowych dostaw nakładanych na mieszkańców wsi, epoka obowiązkowej kontraktacji, a więc i obowiązkowego skupu. Odbывало się to raz w tygodniu, a dla mnie i Andrzeja było atrakcją i ciekawym widowiskiem. Konnymi wozami – samochodów ani ciągników na wsi jeszcze nie było – zwożono z okolicznych wsi na „spęd” czyli do punktu skupu (bo tak nazywali go tubylcy) świnia. Siedzieliśmy na żerdziach ogrodzenia i przyglądaliśmy się ich przedostatniej drodze. A było na co popatrzeć, po kilku takich widowiskach bezbłędnie rozróżniałem warchlaka od dorosłego wieprza, lochę od knura, świnkę rasy ostrouchiej od zwykłej wiejskiej wielorasowej, czasami trafiał się zupełnie czarny odmieniec albo łaciata piękność. Arystokrację stanowiły bekony, tak nazywano młode specjalnie kontraktowane sztuki, wcześniej wyselekcjonowane i kolczykowane (zanim kolczyk w uchu stał się modny w niektórych środowiskach młodzieżowych powszechny był u kontraktowanego bydła i trzody chlewnej). Obsługa traktowała je po świnusku, świnka złapana z ogonek, taki krótki skręcony jak sprężynka, i za ucho, kopniakiem zapędzana była do odpowiedniego kojca, kwiczała przy tym przeraźliwie z bólu i strachu. Operacja powtarzała się, wreszcie pod koniec dnia przyjeżdżały ciężarówki, by zabrać do rzeźni skupioną trzodę; jechały w świnią ostatnią drogę. Co działo się w letnie upalne dni, gdy na placu tłoczyło się kilkadziesiąt pozbawionych wody zwierząt lepiej nie mówić, do dziś pamiętam jeden potworny kwik skargi, a wszystko spowodowane okrucieństwem ludzi. Nie pozwalali nam tam chodzić, toteż nie chodziliśmy, zawsze znaleźliśmy się na naszym płocie przypadkiem, tak mimochodem.

Świnię sprawę poznałem jeszcze dokładniej za przyszłą wują, który prowadził własną masarnię, zanim jak inne została upaństwowiona, a potem w ogóle zlikwidowana a produkcję przejęły zakłady powiatowe. Jakaś rozpierała mnie duma, gdy wujowym wozem zaprzęgotym tradycyjnie w gniadego Wojtką jechaliśmy do umówionych gospodarzy w jednej z okolicznych wsi by odebrać zmówioną a odpowiednio utuczoną sztukę (pamiętam, że miała być w sam raz, ani za chuda ani za tusta) i oczywiście umówić z innym gospodarzem kolejną transakcję. Czasami na wozie oprócz świnki jechało cielę albo za wozem na postronku wlokła się jałowka. Droga dłużyła się wtedy niesamowicie, przygoda zmieniała się w przykry obowiązek, nie mogłem doczekać końca wyprawy i powrotu, tym bardziej, że głód wiercił już w brzuchu. W domu u babci na kuchennym stole czekała miska pełna zsiadłego mleka a na resztkach ognia na patelni stojącej na kuchennej blaszce skwiercały odsmażane kartofle (nie ziemniaki!), obficie obsypane aromatycznym koprem. Jadłem jak prawdziwy spracowany robotnik, a wewnętrznie rozpierała mnie duma dziesięciolatka, z mojej dorosłości i moich dokonań.

Moich młodszych kuzynów szczęście takie nie spotykało. Podczas jednej z takich podróży stałem się mimowolnym bohaterem transakcji, wuj kupował krowę a ta była wyjątkowo szpetna, jakiegoś nieokreślonego koloru, nie czarna w białe łaty, nie krasula, a taka jakaś mysia, szara, zwyczajnie nie krowia. Zniesmaczony jej wyglądem, podobno głośno wybrzydziałem, a w efekcie cena bydła znacznie spadła. Urosłem do rangi fachowca i dobrego kupca.

Zakupione sztuki następnego dnia spotykał los, który od początku był im pisany. Mimo protestów babci i ciotek nie odstępowałem od całej procedury, zrozumienie okazywało mi tylko wuj i jego pomocnicy. Ludziom o słabych nerwach oszczędzę co bardziej drastycznych momentów procesu produkcyjnego i przejdę od razu do wyrobów gotowych. A wuj był mistrzem nad mistrzami, z przedwojenną praktyką i domieszką znajomości doskonałej organizacji pracy, którą to umiejętności nabył w czasie wojny, pracując „u Niemców” w Litzmanstadt (tak w czasie wojny nazywała się Łódź włączona do Rzeszy).

W wędzarni, na drewnianych drążkach wisiały równie rzędy wianków kielbasy nabierającej powoli złocisto-brunatnego koloru. Zapach zapowiadał smakowe rozkosze, ale te były dostępne dopiero dnia następnego, bo technologia przewidywała całonocne wędzenie. W czasie, gdy kielbasa nabierała kielbasianych walorów, w wielkim wmurowanym w paleniskó kotle prażyła się kasza na kaszanki. Jeden z pracowników kroił w grubą kostkę sparzoną wcześniej wątrobę, inny w wielkiej maszynie miał podgardle, wuj dozwalał przechowywane w słojach pieprz, majeranek i inne specyfiki. Całość bardzo starannie mieszano, wreszcie dodawano przechowywaną od uboju świńskiego krew, w międzyczasie w kotle gotowała się woda, parzono w niej kielbasy a następnie gotowano nabite wcześniej w odpowiednie flaki spreparowaną krwawo kaszaną masę. Wreszcie wylawiano grubaśne, powyginane w fantazyjne kształty kiszki. Nim zostały schłodzone, stawały się częścią rzeźniczej uczty, na którą składał się jeszcze świeżutki wiejski chleb przyniesiony niby przypadkiem przez piekarza prosto z piekarni i wspaniała, najprawdziwszy żur. Po odłowieniu gotujących się kiszek - a trzeba wiedzieć, że zawsze któraś w gotowaniu pękła, zagęszczając kiszkowy rosół przeznaczony na późniejszy żur. Ponieważ kociół miał pojemność kilkudziesięciu litrów, część owego „smaku” trafiła do klienteli, która cierpliwie czekała pod drzwiami, zbrojna w bańki lub sporych rozmiarów słoje. Wreszcie zostawaliśmy sami (mnie stamtąd nie wyciągnąłby nawet końmi), zapalano wiszące na ścianie naftowe lampy, na stygnący powoli piec gramolił się tusty leniwy kocur, do kotła trafiła zawartość wielkiego glinianego dzbana - ukiszony wcześniej żytni (z mąki pyłowej) żur. Gdy wreszcie całość „doszła”, rozpoczynała się prawdziwa uczta. Mimo, że oczy zamykały się wbrew mej woli jadłem z nimi jak równy z równymi, słuchałem niesamowitych opowieści o duchach, zmorach, upiorkach, topielcach, a oni jeszcze z dobroci serca chcieli mnie uraczyć tym, co mieli najlepszego na koniec ciężkiej pracy. Jak to się działo nie wiem, ale zawsze w takich momentach zjawiała się babcia i wbrew ogólnym protestom zbierała mnie, jako że pora bywała już spóźniona, a plyn w szklanek nie przeznaczony dla dzieci.

Rower! Miałem już chyba czternaście lat, gdy na wakacje pojechałem z własnym rowerem. Oczywiście rower jechał w wagonie bagażowym, odebrałem go na węzłowej, przesiadkowej stacji w Zduńskiej Woli, by pozostałe trzydzieści kilometrów dzielące mnie od celu podróży, spędzić na siodełku. Początkowo jazda szła mi jak złoto, nie przeszkadzał przeciwny wiatr, nie ciążył plecak z całym wakacyjnym wyposażeniem, pedały napędzające ciężkawy, na torpedo, mechanizm roweru też nie stawiał oporu, ale... Po kilku czy kilkunastu kilometrach zaczynałem mieć dość, jednak dalej mężnie kręciłem, jak to się mówi, do zwycięstwa, i zwyciężyłem. W drodze powrotnej z wakacji do domu już takich wyczynów nie próbowałem, chociaż o ile pamiętam, droga byłaby z wiatrem.

Rower oddawał mi nieocenione usługi, jeździłem ile się dało i gdzie się dało. Betonowa, gładka jak stół szosa, pustą, samochody były rzadkością a nawet atrakcją, rowery używane przez tubylców służyły jako środek komunikacji (nie jak mój do zabawy), były łatwe do dośnięcia i wyprzedzenia, nie przeszkadzał nawet dosyć długi podjazd pod sporą górkę, przecież idol chłopców z tamtych lat – Stanisław Królak – nie takie trudności pokonywał z łatwością. A potem szalony zjazd z góry, pęd powietrza, szum kół, lekkie wstrząsy na dyatacjach między betonowymi płytami szosy – nie do zapomnienia. Wiernie przez kilka lat służył mi „Bałtyk”, zniknął z mego życia dopiero po maturze, spieniżyłem go jako sprzęt zbędny „dojrzałemu” człowiekowi.

Targ, ponad pięćdziesiąt lat temu w małym, choć powiatowym miasteczku będącym metropolią dla okolicznych wiosek. Znałem targi odbywające się na częstochowskim rynku wielunińskim lub na Zwodu, ale ten był inny, zupełnie inny. Jak już wytargowałem wyjazd na targ, musiałem poddać się obowiązującej w tym dniu dyscyplinie. Pobudka gdy za oknem ledwo szarzało, śniadanie, poranna krzątania, wczesnoporanny chłód, wszędzie zimna, bardzo mokra rosa, Gniady już zaprzężony do wozu, jeszcze pakowanie jakichś koszy, worków, wreszcie wspinaczka „po kole” na skrzynię wozu, siedzenie na wypełnionych słomą workach. Wiooo, Gniady! Jedziemy, nie gładką betonową szosą a miękkim, wyjeżdżonym przez konne wozy poboczem, pojazd lekko się kołysze ale nie turkocze, nawet nie dopraszam się o pozwolenie powożenia, drzemie jak i wuj - woźnica i siedzące w drugim a może i trzecim rzędzie ciotki. Jedziemy z godzinie albo dłużej, słońce jest już na niebie, zaczyna przygrzewać, droga dłuży się niesamowicie, mijamy śpieszące na targ kobiety objuczone powiązanymi chustami koszami z dobrem wyprodukowanym we własnych gospodarstwach; oczywiście bosa, buty wiszą na szyi, idą jak i my, poboczem. Idą po dziesięć kilometrów i więcej, wyszły jeszcze przed wschodem słońca, żadna nie prosi o podwiezienie, wiedzą i widzą, że koń i tak ma co ciągnąć, ówczesne wiejskie biznes-women. Wreszcie niskie domki przedmieścia (tak jakby w rynku były dużo wyższe), wóz toczy się już po kostce brukowej, turkocze, wuj nie śpi (ja też nie), sprawnie kieruje pojazdem w tym „miejskim” ruchu. Stajemy, a może parkujemy w ciasnocie innych konnych pojazdów, Gniady wyprężony, stoi z tyłu wozu, przetrzuwa zadane mu siano, zrobił co do niego należało, zapracował na wypoczynek.

Ruszamy w gąszcz wozów zmienionych już w stragan-y i oferujących do sprzedaży dobra wszelakie. Okazuje

SENTYMENTY

się, że „moi” mają co kupić i co sprzedać, przekonuję się też, że jestem tu potrzebny jak przysłowiowe piąte koło. Wkrótce na naszym wozie znajdują się wielkie worki ospy, mniejsze z różnymi gatunkami mąki (okazuje się, że każda nadaje się do czego innego), podobnie jak i kasze, wkrótce doładowano i żywe nabytki: parę różowiatkich kwiczących prosiaczków, wielki kosz wypełniony żółciutkimi malutkimi kaczuszkami i wciśniętymi po szyję do worka dorodnymi zielonołbymi kaczorami. Cała ta wesoła menażeria umilała nam powrotną podróż a ja miałem jeszcze pretensje, że nie prowadzimy za wozem małego zrebaczka, bo i taki był w handlowej ofercie. Wuj dokonał też prawdziwych męskich zakupów - u rymarza dokupił niezbędne części końskiej uprzęży, w składzie żelaznym nowe lemiesz do pługa, odpowiedniego rozmiaru podkowy (półprodukty). Wszystkie te wyroby oferowali ich producenci, tam dopiero było na co popatrzeć, stopy różnorodnego żelastwa u kowali hurtowników, długie draگی obwieszane końską uprzężą, stopy przetaków, koszy a nawet zwykłych (poziemnie) brzoźowych mioteł. Do tego gwar i rwetes i jeszcze wizyta (ciotek) u sprzedawców obuwia i odzieży (zapewniam, że nie chińskiej) - zapamiętałem kolorowe dziewczęce wstążki, przecież odpust był tuż, tuż. Błasane i drewniane zabawki nie interesowały mnie wcale, znalazłem lepsze, tak jak i stoiska ze starymi rupieciami, też u nas widywałem lepsze i w większym asortymencie. Powrotna droga równie monotonna, choć urozmaicona kwakaniem kaczorów lub kwiczeniem zmęczonych upałem prosiaczków. Przy drodze - maszerując do domu te same, co rano kobiety, znowu nie proszą o podwiezienie, ale niejedna ładuje na nasz wóz swoje tobolki, odbierze je w domu po powrocie.

Wreszcie dzień Świętej Anny, odpust w „naszej” parafii, wielkie lokalne święto i równocześnie największa wakacyjna atrakcja. Szykuje się liczny zjazd, bo nie dość, że odpust, to jeszcze imieniny ciotki i, o trzy dni wcześniejsze, wuja Apolinarego. Na kilka dni wcześniej rozpoczyna się wielkie odliczanie, szykują się wymyślnie wędliny (to wuj), drób pieczony i inne mięsniwa na gorąco plus zupy, jarzynki (ciotka), ciasta i torty (ciotka), wielkie sprzątanie (pospolite ruszenie), lody (kolektyw - ciotka gotowanie, wuj zmrażanie, my czuli dzieciarnia - wyzeranie), wreszcie przeszkadzanie we wszystkim i wszystkim (znowu my). O kuchni wiele nie powiem, bo pędzono nas z niej bezlitośnie, ale wujowe porządki wymagają bez mała osobnego studium. Poświęcał im każdą wolną chwilę, zamiatał i grabił całe podwórko, a szczególną uwagę poświęcał alejkom. Te wygracowane z każdego zielonego chwascika i każdej trawki, wygrabione równiutko jak od linijki, budziły podziw, ale też kusiły. Nic tak pięknie nie wyglądało na równiutko zagrabionej powierzchni, jak świeże ślady rowerowych kół. Wuj nie mówił, tylko cierpliwie poprawiał i doskonalił swoje dzieło, gdyby mógł - a raczej gdyby miał czym - pewnie malowałby trawę, a jako przedwojenny żołnierz, obrońca Warszawy we wrześniu 1939 roku, przyuczony był do dyscypliny i porządku. My dalej też robiliśmy swoje, psocili i przeszkadzali.

W dzień odpustu, odświętnie przyodziani, maszerowaliśmy do pobliskiego kościoła na poranną mszę, by później mieć „wolne” i móc spokojnie oddawać się odpustowym

atrakcjom. Marne oneż były, a może mnie, zepsutemu miejskimi atrakcjami, wydawały się zbyt skromnymi. Bo cóż to była za karuzela, która nie miała zawieszonych na łańcuchach krzeselek, czy strzelnica, w której były tylko trzy wiatrówki, czy wreszcie stragany pełne blaszanych zegareczków, tandetnych trąbek, pistolecików na kapiszony, czy bardziej odpustowych - medalików na kolorowych tasiemkach, różanców i łańcuszków, o których można było powiedzieć, że leżały obok srebra. Nie brakowało też smakolyków, ściśle tandetnych cukierków nieznanych producentów, za to w bardzo kolorowych, szeleszczących papierkach, kupowanych najchętniej przez wiejskich chłopców wystrojonych w granatowe (pewnie jeszcze od pierwszej Komunii Świętej) garnitury, w przykrótkich już spodniach i marynarkach o kusznych rękawach. Dziewczyny kupowały szklane parasoleczki lub laseczki pełne wielokolorowych cukiereczków-groszków o tak podłym smaku, że do dziś czuję się nieswojo na ich wspomnienie, a jeść musiałem częstowany przez kuzyneczki, które w tym przypadku były dziwnie serdeczne i gościnne. Szczytem atrakcji była fantowa loteria organizowana przez miejscowych dzielnych strażaków, każdy los był uśmiechem szczęścia, coś wygrywał, czymś nagradzał, dochód przeznaczano na jakiś bardzo zbożny cel, ale jaki już nie pamiętam. Fanty, były to przedmioty oferowane przez mieszkańców, część pochodziła z powojennego szabru, część były to miejscowe dobra; tak stałem się właścicielem pięknego kryształowego, w rubinowym kolorze, pucharu i dwóch chudych zabiedzonych kurczaków. Puchar stoi do dziś w mojej serwantce, ale z kurczakami był kłopot, długo nie pożyły, zdechły, jeszcze na inny drób sprowadziły jakąś ptasią zarazę, taką niegdyśszą ptasią grypę lub szkarlatynę. Andrzej miał więcej szczęścia, wygrał prosiaka, którego umiarkowanego za tylną nogę, dumnie prowadził a raczej poganiał w stronę domu, potem zamknął w pustym chlewiku i do końca wakacji interesował się więcej tym swoim inwentarzem, niż zabawą ze mną. Co wygrały dziewczyny nie pamiętam, wiem, że nakupiły kilometry kolorowych wstążek, wstążki bez przerwy wplatały w kuse warkoczyki i wiazały w kokardy, denerwując barwnymi motylami miejscowe pszczoły i osy.

Zawsze spóźniliśmy się na wielki świąteczny obiad, z tym że w ogólnym tłumie naszą nieobecnością nikt się przeważnie nie przejmował i na nasze miejsca na końcu stołu nie zwracano uwagi, a swoją porcję prawdziwego rosółu z najprawdziwszym makaronem i ogromną porcją prawdziwego kurczaka i prawdziwych przyrąk (to wpływ pobliskiej poznańszczyzny) nie wspominając. Wszystko blade wobec ciocinchych lodów, w których nie mały był i mój udział, bo jako najstarszy z całej dzieciarni musiałem w zimnej piwniczce solidnie kręcić korbą od lodowej maszyny.

Wieczorem chodziliśmy na drugą stronę szosy, gdzie nad stawem trwała strażacka odpustowa zabawa. Grała jakaś miejscowa orkiestra, dominowały polki, oberki i kujawiaki, tancerze wywijali na drewnianej podłodze leżącej na wiejskiej łące, po bokach dziewczynki parami próbowały swych tanecznych umiejętności, nawet i nas chciały skusić do wspólnych tanów, ale niedoczekanie!

Staw, raczej cztery stawy, to cztery miejsca zabaw. Najbliżej, na naszej łące, było „moczydło”, pozostałość po typowej wiejskiej, nastawionej na samowystarczalność, gospodarce. Jak sama nazwa wskazuje, moczydło służyło do moczenia - lnu. „Jak to ze lnem było” wie każdy, kto przeczytał Konopnicką (ja posiadam dodatkową wiedzę na ten temat w czasie studiów - wydział włókienniczy politechniki). Wtedy widziałem, jak zatapiają w moczydle lniane snopki i wiedziałem, że nie wolno do niego wchodzić, a już broń Boże ruszać lnu, toteż nie wchodziliśmy i nie ruszali, chyba że nikt nie widział.

Dużo bardziej atrakcyjny był położony za szosą staw „Kolasy”, do którego przez naszą łąkę płynęła, o ile nie wysychała, wąska struga. Mimo stałego zasilania staw był płytki, o obrośniętych wielkimi wiązami niedostępnych brzegach, kąpiel a nawet brodzenie po płytkiej wodzie powodowało uboczne skutki w postaci konieczności dodatkowego starannego mycia. Szłam sięgał tam powyżej kolan a był siedliskiem niezliczonej ilości pijawek, na oblepionych nogach zasychał w twardą nieusuwalną skorupę. Staw był rajem dla kaczek, te wiedzione jakimś kaczym zmysłem zawsze znajdowały do niego drogę. Przybywały nawet z dość odległych gospodarstw, a jak już się spotkały następowało mieszanie stad i stadek, którego efektem były awantury (wspaniałe) urządzone przez ich właścicielki. Staw był czasami wykorzystywany przez strażaków jako zbiornik przeciwpożarowy ale i jako czynnik wychowawczo-prewencyjny. Na jednej ze strażackich zabaw nad stawem -widziałem na własne oczy - zabawowego awanturnika dzielni strażacy chwycili za ręce i nogi i po rozhuśtaniu na hasło „hej siup!” zwodowali. Delikwent wyładował w błotno-mulistej krainie pijawek, nie wiem czy wytrzeźwiał, ale więcej się nie awanturował, a następnego dnia, w swym świąteczno-błotnym garniturze spał jeszcze około południa snem sprawiedliwego pod przydrożnym krzyżem.

Trzeci ze stawów, u Lapa był najokazalszym, ba nawet rybnym. Tam też w upalne suche dni jeździło się wozem na ważny zabieg konserwacyjny, czyli moczenie wysuszonych wozowych kół, zabieg, który chronił je przed rozpad-

nięciem. Kiedyś w takie upalne dni zajechał bryczką daleki kuzyn o wdzięcznym przezwisku „Dziedzic”. Lubił zadawać szyku (bryczka!), zabrał nas kilkoro na przejażdżkę i właśnie u Lapa zapragnął poddać swój ekwipaż wodnym zabiegom konserwacyjnym. Wjechaliśmy więc do płytkiego stawu, konik stał spokojnie, koła nasiąkały wodą, ale obciążona bryczka zaryła się w miękkim dnie. Gdy przyszło ruszyć, wehikuł ani drgnął, dziewczyny swoim zwyczajem zaczęły piszczeć jak na tonącym Tytaniku, a my z Andrzejem w myśl starego furmańskiego porzekadła – kto lichy za szprychy – przystąpili do wypychania bryki. Rozebrani do majteczek bawiliśmy się doskonale, tym bardziej, że nadbiegło kilku kolegów Andrzeja chętnych do pomocy. I wszystko poszłoby dobrze, gdyby nasze wrzaski nie spłoszyły spokojnego zazwyczaj konia – szarpnął, przechylił brykę na bok a następnie, jak na zwolnionym filmie, położył w płytkim na szczęście stawie. Co to był za widok, nasz kuzyn i dziewczyny wysypały się jak przysłowiowe ulegalki w błotnistą (już niezłe zmaconą) stawową toń, za nimi leciało siedzenie, nasze ubrania, jakieś przedmioty, wrzescie nastąpiła cisza o ile mogła nastąpić, bo wyliśmy wprost z uciechy, a dziewczyny ze strachu. Jak wróciliśmy do domu nie pamiętam, ale czy to było ważne wobec tak wspaniałej katastrofy?

Ostatni ze stawów znajdował się już za wsią, tam choć nie było wolno chodziliśmy na ryby. Leszczynowe wędki, żyłka, haczyki, robaki i już. Ryb jako takich nigdy nie nalapaliśmy, choć podobno były tam „taaaaaakie”. Przynosiłszy po kilkadziesiąt karasków, choć małe toto było i chuderlawe. Do dziś podziwiam babcię, która z anielską cierpliwością skrobała, czyściła i smażyła naszą zdobycz a my, niewdzięcznicy, nie chcieliśmy potem jeść przepysznych, choć malutkich i bardzo ościstych rybek. Babcia za to zjadała wszystko ze smakiem i całe szczęście, że nasz trud nie szedł na marne.

Ostatnie (dziś żaluję) takie wakacje miałem w ósmej klasie, chodziłem już do Traugutta. Buntowałem się, to było już nie dla mnie!

Zbislav Janikowski



Fascynujące opowieści o mieście

Jakub M. Rawinis

Znany częstochowski dziennikarz i działacz społeczny Jarosław Kapsa wydał ostatnio książkę pt. „Częstochowa. Inne opowieści”. Już archiwalne zdjęcia na okładce mówią nam, że jej tematykę stanowi historia naszego miasta. Ścisłej mówiąc, jest to zbiór esejów; część z nich była już publikowana na łamach prasy. Książka składa się z 13 artykułów – publicystycznych, a nie historycznych, jak podkreśla autor – poświęconych interesującym, a mało znanym aspektom historii Częstochowy w XX wieku, często widzianym przez pryzmat lokalnej prasy.

Rozpoczyna się artykułem o zabójstwie proboszcza z Cielętnik w 1982 roku – tekst ukazał się pierwotnie po 13 latach od zbrodni, a sprawcy nie zostali wykryci do dziś. Zwieńczenie stanowi esej o historii społeczeństwa, z lejtmotywnym wieżu ratuszowej. Pomiedzy nimi mieszczą się fascynujące historie z dziejów naszego miasta. Mowa jest więc o pobycie w Częstochowie ukraińskiego rządu atamana Petlury i o trudnym okresie, gdy nasze miasto stawało na nogi po II wojnie światowej. Historia okupacji spleciona z dziejami gadzinowego „Kuriera Częstochowskiego” (i widziana z perspektywy artykułów z tej gazety) sąsiaduje z opowieścią o niedocenionym za życia, a dziś mającym status kultowy, rzeźbiarzu Stanisławie Szukalskim (zupełnie, że wśród jego miłośników znajdują się dziś m.in. członkowie amerykańskiej awangardowej grupy rockowej Tool). Dwa teksty dotyczą „bitwy o handel”, czyli okresu, gdy władza ludowa starała się wytepić tzw. prywatną inicjatywę. Autor nie waha się poruszać niewygodnych tematów, wspierając się słowami Romana Dmowskiego: „Wolno mi być dumnym z tego, co w Polsce jest wielkie, ale muszę przyjąć i upokorzenie, które spada na naród za to, co jest w nim marne”. Nic więc dziwnego, że poświęca uwagę prasie gadzinowej, czyli tej części kultury częstochowskiej, o której na ogół wolelibyśmy nie pamiętać. Artykuł „Noc, mgła i strach” omawia natomiast prasowe echa zajęć antyżydowskich w okresie powojennym. Z drugiej strony pojawiają się i pozytywne przykłady współzycia Polaków i Żydów: nie sądzę, aby powszechnie wiadano, że jednym z najistotniejszych organizatorów częstochowskiej straży pożarnej w okresie przedwojennym był Jakub Kohn.

Artykuły zebrane w książce czyta się łatwo i z zainteresowaniem, tym bardziej, że przedstawiają one ciekawą tematykę. Od strony wydaw-



niczej książka została opracowana dobrze, jak na oficynę lokalną, jakkolwiek np. wąskie marginesy sprawiają wrażenie „natłoku”. Tekstom towarzyszą liczne fotografie archiwalne, a także np. reprodukcje plakatów. Jedyny zgrzyt stanowi błąd ortograficzny w tytule jednego z artykułów, poświęconego roli Jasnej Góry w oporze przeciw komunizmowi w okresie powojennym: „Zwycięstwo Maryji nad Marksem”. Nie jestem też pewien, czy celowe było wytłuszczenie nazwisk, nazw własnych, niektórych dat oraz najważniejszych stwierdzeń (zresztą nie całkiem konsekwentnie). Gdyby ktoś, wzorem rekordzistów w czytaniu dzieł Lenina na czas, postanowił czytać jedynie miejsca zainteresowane, niewiele by zrozumiał, natomiast zainteresowany czytelnik znalazłby te fragmenty i bez potrzeby zaznaczania. Żaden z mankamentów nie jest jednak na tyle poważny, by zniechęcić do lektury książki Jarosława Kapsy. Pozycja ta może zaciekać nie tylko mieszkańca naszego miasta, bo choć omawiane sprawy wiążą się z Częstochową, to niektóre wątki mają znaczenie ogólnopolskie lub spletają się ze zjawiskami spotykanymi w całym kraju, a czasem i za granicą. Całkiem niezłe, jak na miasto uważane za prowincjonalne.

Przewodnik



Fot. Leszek Piłchowski

W 30. rocznicę wyboru Polaka na Stolicę Apostolską, stanął w Częstochowie pomnik Jana Pawła II. Ojciec Św. prowadzi pielgrzymów prastarym szlakiem pątniczym – ku Jasnej Górze

Wojna i pamięć



Fot. Leszek Piłchowski

Widowiskiem plenerowym na centralnym placu miasta czciliśmy pamięć tragicznych wydarzeń z września 1939 roku - masowe egzekucje obywateli Częstochowy, dokonane przez hitlerowców. „Krwawy poniedziałek” przypomniał Teatr Wojtko Kolsuta.

700 lat

Świętujemy siedemsetlecie założenia zakonu Paulinów. Ważnym elementem tych obchodów w Częstochowie była jasnogórska wystawa „Mecenat kulturalny i artystyczny paulinów polskich. W 700-lecie zatwierdzenia zakonu paulinów i przyznania reguły św. Augustyna”, prezentująca imponujący dorobek kulturalny, naukowy i artystyczny paulinów w Polsce.

Pokolenie, które zstępuje Pokolenie, które wstępuje

W katedrze miał miejsce koncert dedykowany poległym w Powstaniu Warszawskim. Uczestniczyli w nim uczniowie Szkoły Podstawowej nr 52 noszącej imię Małego Powstańca oraz świadkowie i uczestnicy tamtych wydarzeń.



Na organach grał Przemysław Kmiec (ur. w 1980 r. w Częstochowie), absolwent Państwowego Liceum Muzycznego w Częstochowie, Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie oraz Universität für Musik und darstellende Kunst w Graz (Austria), organista Bazyliki Archikatedralnej i sanktuarium na Jasnej Górze.



Fot. Leszek Piłchowski

Doktor



Fot. Leszek Pliłchowski

Doktor Władysław Biegański zasiadł na spitzowej ławeczce w Alei Najświętszej Maryi Panny. Wybitny lekarz i społecznik, etyk i filozof ma swoją ławeczkę dzięki inicjatywie Towarzystwa Lekarskiego oraz wsparciu Urzędu Miasta Częstochowy i Muzeum Częstochowskiego.

Odsłonięcie ławeczki z rzeźbą doktora Władysława Biegańskiego, usytuowanej w pobliżu Biblioteki Publicznej jego imienia oraz dawnego Szpitala Miejskiego w Częstochowie (DH „Merkury”), kończy obchody 150. rocznicy urodzin i 90. rocznicy śmierci Doktora (1857-1917). Autorem i wykonawcą rzeźby jest Wojciech Pondel.

Wiedza to potęga

Rok 1918. Polska niepodległa i jej twórcy – *to hasło XV Turnieju wiedzy historyczno-literackiej dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych, zorganizowanego przez Bibliotekę Publiczną im. dra. Wł. Biegańskiego, Kuratorium Oświaty w Katowicach - Delegatura w Częstochowie i Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie, a pod honorowym patronatem Prezydenta Miasta Częstochowy.*

Uczestniczyło w nim 55 uczniów z 19 szkół średnich z Częstochowy oraz powiatów: częstochowskiego, kłobuckiego, lublinieckiego i myszkowskiego. Końcowe wyniki turnieju:

- 1 miejsce:** Maciej RAKOWSKI - I LO im. J. Słowackiego w Częstochowie;
- 2 miejsce:** Rafał WIECZOREK - VII LO im. M. Kopernika w Częstochowie;
- 3 miejsce:** Piotr JANIĄK - LO w Kamienicy Polskiej;
- 4 miejsce:** Amadeusz SZKLARZ-HĄBROWSKI - I Społeczne LO im. Z. Herberta STO w Częstochowie;
- 5 miejsce:** Rafał MICHALIK - VII LO im. M. Kopernika w Częstochowie;
- 6 miejsce:** Jakub ŁUKACZYŃSKI - IX LO im. C.K. Norwida w Częstochowie;
- 7 miejsce:** Paweł DĄBROWSKI - IX LO im. C.K. Norwida w Częstochowie;
- 8 miejsce:** Anna BRYŁA - VII LO im. M. Kopernika w Częstochowie;
- 9 miejsce:** Dominika LESZCZYŃSKA - Zespół Szkół Muzycznych im. M.J. Żebrowskiego w Częstochowie;
- 10 miejsce:** Błażej STROMCZYŃSKI - IX LO im. C.K. Norwida w Częstochowie

W Turnieju zostały również wyróżnione osoby, które zajęły miejsca od 11 do 20. Są to:

Klaudia CEGIEŁA - Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych w Koniecpolu; Marcin ŁEBEK - Zespół Szkół Nr 3 w Kłobucku; Katarzyna ZYGON - Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych w Koniecpolu; Błażej JASZCZYK - VII LO im. M. Kopernika w Częstochowie; Michał KUBALSKI - Zespół Szkół im. M. Skłodowskiej-Curie w Koziegłowach; Agnieszka JANICKA - I LO im. J. Słowackiego w Częstochowie; Marta MATUSZEWSKA - VII LO im. M. Kopernika w Częstochowie; Wojciech BŁACHOWICZ-CHĄBROWSKI - I LO im. J. Słowackiego w Częstochowie; Mateusz KOWALIK - Zespół Szkół Samochodowo-Budowlanych w Częstochowie; Monika BERNAS - Zespół Szkół Nr 1 im. Jana Kilińskiego w Kłobucku



Fot. Zbigniew Burda

Drugi pokój



Fot. Piotr Dlubak

Wśród licznych imprez Roku Herbertowskiego, odnotujmy częstochowską premierę dramatu Zbigniewa Herberta „Drugi pokój”, przygotowaną przez Annę Kękuś-Poks (scenariusz, reżyseria, scenografia, oprac. muzyczne) Na fotografii ze spektaklu: Czesława Monczka i Indrzej Iwiński.

Cudowne podróże

O swoich barwnych, cudownych podróżach opowiadał częstochowianom, licznie zgromadzonym w Bibliotece Publicznej, Elżbieta Dzikowska.



Fot. Leszek Pilichowski

Cudowny pojazd



Fot. Leszek Pilichowski

Wraz z Pielgrzymką Warszawską, pojawiły się Częstochowie dziwne nieco pojazdy naszej Straży Miejskiej. Bardzo zainteresowały abpa warszawskiego Kazimierza Nycza

Antykwariat



Fot. Leszek Pilichowski

Znany antykwariusz częstochowski, Zbigniew Biernacki, doczekał się wreszcie rozbudowy swojej, zasłużonej dla miasta, placówki.

Święto Ciulimu i Czulentu

Jakub M. Rawinis

Pod koniec sierpnia pojechałem ze znanym fotografikiem do Lelowa na coroczny festyn żydowski. Tego dnia przez wieś przechodził obraz Matki Boskiej Częstochowskiej: wszystkie płoty i elewacje domów obwieszane były proporczykami z symbolem krzyża i wizerunkiem Matki Boskiej. Atmosfera świąteczna była więc dubeltowa. Wjeżdżając, ujrzelśmy na mostku malowniczych chasydów: dwaj byli w chałatach i kapeluszach, a trzeci w jarmulce i czarnej kamizelce, spod której wystawały frędzle cici. Wyszłoby doskonale zdjęcie, lecz niestety, znany fotografik miał ręce zajęte kierownicą...

Wśród Żydów słynie Lelów jako jeden z ośrodków chasydyzmu. Istnieje nawet odłam chasydów zwany lelowerami, którego przedstawiciele corocznie, na przełomie stycznia i lutego, przybywają na grób cadyka Dawida Bidermana w rocznicę jego śmierci. Co prawda, dostęp do grobu cadyka i jego współwyznawców jest utrudniony – na zniszczonym przez Niemców cmentarzu wybudowano spółdzielnię „Samopomocy Chłopskiej” – ale udało się w jej budynku stworzyć pomieszczenie do modlitw, a w tym roku teren cmentarza ma zostać wykupiony przy wsparciu ze strony rządu.

Kilka lat temu władze gminne uznały, że wielokulturowość warto promować – i tak w Lelowie odbywało się już szóste Święto Ciulimu i Czulentu. Pierwszy z nich to tradycyjna żydowska potrawa z kaszy, fasoli i wołowiny, spożywana w szabas. Pod wpływem sąsiadów polscy mieszkańcy Lelowa stworzyli ciulim z tartych ziemniaków i zeberek (Czulent im chazir? Czulent ze świnią? – pytał z niedowierzaniem znajomy Żyd, wegetarianin zresztą). Chrześcijański odpowiednik czulentu stanowi dziś unikalny specjał Lelowa.

Gmina solidnie przygotowała się do imprezy. Wieś cała parkingiem się stała: jak okiem sięgnąć, w podwórzach i na placach stały samochody. Ludzie w fluorescencyjnych kamizelkach pilnowali porządku. Ponieważ fotografik prezentował wystawę, mogliśmy wjechać na parking dla artystów, tuż koło szkoły.

Za budynkiem szkolnym postawiono estradę. Gdy przyszedłem, trwała tam próba zespołu klezmerskiego. Nieco dalej obwożono dzieci na kucyku. Nad głowami z rzadka



przelatywali moto- i paralotniarze, a częściej unosiły się baloniki, wszechobecne na festynach – coraz to któryś, na przykład w kształcie dwunożnego konia, ulatywał w przestrzeń. Dowiedziałem się, że nigdy jeszcze w Lelowie nie doszło do ekscesów antysemickich, ale i tak nad bezpieczeństwem czuwali ochroniarze, wyposażeni w budzące respekt pały (niektórzy mieli po dwie – krótszą i dłuższą) i gotowi zdyscyplinować każdego, kto zamoczy się śliwówicą czy miodówką. Pewien niepokój budził fakt, że wszyscy byli łysi.

Oficjalne rozpoczęcie imprezy miało nastąpić o 16. Na scenie pojawili się: wójt Jerzy Szydłowski, siwobrody rabin Simcha Krakowski, potomek cadyka Dawida, wraz z drugim, ciemnobrodym rabinem, posłanki Izabela Leszczyna i Jadwiga Wiśniewska, wicestarosta Janusz Krakowian oraz Bogdan Jastrzębski, odznaczony tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Towarzyszył im prowadzący, który przesadnie akcentował głoskę „ę”. Wójt powitał uczestników święta „w imieniu swoim i rabiny Simcha Krakowskiego”. Cała siódemka zapaliła siedem świec memory, dając znak do rozpoczęcia święta. Każdy wygłosił też krótkie przemówienie. Najbardziej elektryzująca była mowa rabina Krakowskiego, choć mówił po hebrajsku i z tłumaczem, który nie nadążał.

Po części oficjalnej zaczęły się występy artystyczne. Gwiazdą wieczoru miał być klezmer Leopold Kozłowski, ale nie wystąpił, bo złamał rękę. Lelów postawił więc na twórczość amatorską. Dziecięcy i młodzieżowy zespół tańca zaprezentował tańce żydowskie, a raczej tańce do muzyki żydowskiej (i izraelskiej). Młodzież grała też na skrzypcach i czym innym. Spośród muzykujących amatorów najlepiej wypadł dyrektor szkoły Andrzej Pisula, mi-





łośnik przyrody i muzyki, który popiswał się grą na liściu. Wieczorem zaś wystąpili profesjonalści: zespół Eliezer Mizrahi, prezentujący jazującą muzykę żydowską – prezentowane rytmy były jed-

nak powłóczyście i zbyt jednostajne, by rozruszać publiczność, gdy zrobiło się ciemno, a temperatura opadła.

Cały dziedziniec otaczały stragany. Oferowały przede wszystkim ciulim, sprzedawany między innymi przez gospodynie wiejskie w tradycyjnych strojach. Czulentu było mniej, dlatego ustawiały się doń wielometrowe kolejki. Można było też spożyć gęsie pipki, raki, śliwowiec lewowski oraz specjalny mniej regionalny, np. „o-cypki”. Wśród pamiątek znalazły się obrazki z Żydami. Dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy liczyli pieniądze, tak, jakby Żydzi w Polsce zajmowali się wyłącznie finansami. O, przepraszam! Na jednym obrazku Żyd wyciskał cytrynę, co też może być aluzją do praktyk lichwiarzkich... Kilka firm uznało imprezę za znakomitą sposob promocji – od producentów wody mineralnej, przez firmę strusi (jajecznicza 5 zł), po firmę oferującą piec CO.

Gdy gwar szkolnego dziedzińca dokużył człowiekowi, można było schować się w szkole. Na korytarzu witały nas prace plastyczne uczniów, świadczące o sympatii do narodu żydowskiego mimo niewielkiej o nim wiedzy. Jedną z klas zamieniono na salę wystawową, w której stały fotografie autorstwa stałego bywalca imprezy, Leszka Pilichowskiego, oraz Karola Fatygi. Towarzyszyły im dzieła uczniów Zespołu Szkół Plastycznych: niektóre zdradzały bardzo silną inspirację Chagallem i Bruno Schulzem. Kontemplację sztuki utrudniały rozlegające się co chwila eksplozje instrumentów dętych.

Fotografie Leszek Pilichowski

Stosunki polsko-żydowskie, jako całość, to skomplikowana sprawa. Czasami ten i ów Izraelita, doświadczony na polskiej scenie nieprzyjemności, doznaje urazu do naszego kraju i po powrocie do domu wrzuca na stronę internetową zdjęcia antysemitkich bohomazów z objaśnieniem: „To jest Polska”. W ramach rehabilitacji należałoby zabrać go do Lelowa, pomiędzy kilka tysięcy ludzi w większości nie mających związku z kulturą żydowską, aby ujrzał, że pamięć o obecności Żydów na ziemiach polskich można kultywować w sposób wolny od stereotypów. Żydzi przyjmowani są w Lelowie z życzliwym zaciekawieniem, a nie z agresją. Widok tęgiego wająca o piastowskiej fizjonomii zdradzającej zamilowanie do piwa, skrywającego łysinę pod jarmułką, to niezła ilustracja dialogu kultur.



MANIFEST POSTPRYMITYWISTYCZNY

MY, POSTPRYMITYWIŚCI,

w społeczeństwie informacyjnym i masowym jesteśmy niczym mech rosnący w szczelinach wieżowca, niczym szopy pracze rozpruwające worki ze śmieciami obaw społeczeństwa.

Technika graficznego odwzorowywania rzeczywistości zaawansowała się tak dalece, że na granicy wymarcia znaleźli się ci, którzy spoglądają na świat w sposób uproszczony, w sposób indywidualny. My, postprymitywiści, sięgamy do wielkich mistrzów: Nikifora i Celnika Rousseau, którzy malowali rzeczywistość tak, jak na nią patrzyli, bo nie wiedzieli, że można patrzeć inaczej. Jednocześnie nie aspirujemy w żaden sposób do tego, by uważano nas za im równych.

My, całkiem świadomi i w pełni naszych władz umysłowych, nawiązujemy do prymitywizmu w obronie indywidualności, którą kultura masowa coraz bardziej stara się zredukować do postaci szarej, podrygującej masy. W zamiśle architektów kultury masowej ludzkość ma czuć się spełniona czy wręcz dostawać o...zmu po przyjęciu propozycji, które obiektywnie można ocenić jedynie jako artystyczny kopniak w zęby. I znikąd pomocy, bowiem artyści nurzają się w introspekcji...

Odrzucamy zatem dętą metafizykę na rzecz ładnych lub dla odmiany przerażających obrazków. Za swe inspiracje poczytujemy na równi malowidła ludów pierwotnych, ilustracje w średniowiecznych manuskryptach, których autorzy nie mieli pojęcia o proporcjach ciała i perspektywie, dziecięce rysunki, piktogramy w autobusach, kompozycje tworzone podczas śmiertelnie nudnych narad i co tam jeszcze kto chce. Przyszłość sztuki kryje się na ostatnich stronach zeszytów. Byle jak sporządzony rysunek faceta o lewej nodze znacznie grubszej niż prawa i z głową narysowaną od cyrkla może być nie gorszy od „Straży nocnej”.

Zarazem bijemy tęgą łągą pseudorealistyczny kicz, idealnie proporcjonalny i do womitui słodki. W celu obrony naturalnej niewinności spojrzenia oraz zachowania kultury na pewnym poziomie wyrzekamy się propagowania seksu, wulgarnego słownictwa oraz wszelkiego rodzaju chamowatości.

Sprzeciwiamy się dorabianiu teorii do sztuki. Jeżeli dzieło nie robi wrażenia samo w sobie, to znaczy, że jest za słabe. Jesteśmy jednak za wolnością w sztuce: kto chce, niech sobie tworzy teorie, ale nikogo nie będzie zmuszał do zapoznawania się z nimi. Tak samo pełna wolność sześcioramiowa panuje w dziedzinie interpretacji naszych dzieł: niech każdy widzi w nich to, co uzna za stosowne, a my chętnie przeczytamy

wypociny rozmaitych znawców.

Dopuszczamy błędy w tytułach dzieł i inskrypcjach na nich, o ile naśladują ortografię pierwotną z epoki przed ukształtowaniem się ortografii jako obowiązującego zbioru zasad, a nie wynikają ze zgrzyw czy zwykłego niedbalstwa – albowiem niedbalstwo, wszechobecne w czasach, gdy człowiek ma wszystko jak na tacy i prawie nie

musi myśleć, jest naszym śmiertelnym wrogiem, któremu chcemy wbić widły w brzuch, choć zdajemy sobie sprawę, że to walka z wiatrakami.

Jesteśmy za całkowitym zniesieniem studiów plastycznych, które ograniczają indywidualne widzenie świata, narzucając w zamian gotowe spojrzenia, filtry mentalne, interpretacje. Dyplom stwierdzający, że ktoś jest artystą, to czysta schizofrenia; jeśli czyjeś obrazy są do niczego, to dyplom mu nie pomoże. Postprymitywiście wystarczy w zupełności lekcja plastyki w szkole. Pożądane byłoby ewentualnie studia z dziedziny historii sztuki, aby wiedział, czego i w jaki sposób nie malować.

Domagamy się uznania długopisu za pełnoprawne narzędzie artystyczne!

MY, POSTPRYMITYWIŚCI



Wiosna na dzialce I. Królik jest tu oczywiście elementem kluczowym



